№ 35. Warszawa, d. 15 (27) Sierpnia. 1870 roku.

Prenumerata wynosi: *w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Na stacjach pocztowych w Cesarstwie, Królestwie, za granicą i w Redakcji Kwartalnie rs. 2 kop. 50. — Półrocznie rs. 5.— Rocznie rs. 10. Numer pojedynczy kop. 15. — (W téj summie mieści się cena pisma, porto i opakowanie) Krakowie prenumerować można w księgarni pana Friedleina.—w Poznaniu w księgarni pana Leitgebera, płacąc za półrocze 8 guldenów albo 5 talarów.*

Treść Numeru. Parja (Wiersz). — Prelekcje Publiczne Fr. Henryka Lewestama. — Wspomnienie Klarynecisty opowiedziane przez Erckmann'a Chatrian'a przełożył Ja Chęciński. —Korespondencja z Krakowa.—Natalja Borisówna Dołgorukowa powieść p. Furmanna. —Agnieszka Sorel. —Przegląd teatralny. — Ekonomia domowa.

Parja.

Konał samotny. Targana rospaczą
Nić życia prysła.... Gasł zwolna... a w koło
Czy sów to chychot?.... czy kruki kraczą?...
Ludzie to, ludzie, co plwali na czoło
Bólem zorane, co mu pierś szarpali —
Teraz się zbiegli w bluźnierstwie zuchwali...
„Kona! ha, dobrze! Głód wyssał mu piersi,
Szyderstwa nasze serce mu rozdarły!...
Dobrze!" zakrzyczą w złości co najszczersi.
Te klątwy braci słyszał on wpółzmarły
I czoło blade, jak księżyc nade dniem,
Podniósł nad łożem boleści, a oko
Błysło raz jeszcze światłem niepowszedniem—
Poruszył usty, i z ust tych, wysoko —
Nad błoto ziemskie, niby woń kwiatową,
Wzleciały ciche przebaczenia słowa....
Ludzie nie słyszeli... Bóg słyszał przecie!...
Tak skonał Paria w chrześcjan świecie...
„Za cóż był Parią? Czy był człowiekiem
Co splamił czoło? skarb zmarnował ducha?
Zerwał z Bogiem, z prawdą, z postępem,
wiekiem?"
Pytałem... Lecz rzesza pytań nie słucha—
Pulsu trupa tknąwszy, odeszła zwolna,
Klnąć innym jeszcze, bo kląć jeno zdolna...

Klemens Podwysocki.

PRELEKCJE PUBLICZNE

FR. HENRYKA LEWESTAMA.

(d. 22 Grudnia 1869 r.)

Znaczna, może liczebnie największa ilość komedyi Molièra, o którego przedniejszych kilku utworach dziś mi jeszcze mówić wypadnie, żeby uzupełnić rozpoczęty w zeszłym odczycie obraz téj kolosalnéj postaci, oraz twórczéj jéj działalności, — wielka z pomiędzy nich ilość ma znaczenie przeważnie okolicznościowe, i zawdzięcza swoje postacie dworskim uroczystościom, któremi Ludwik XIV starał się, obok tylu innych środków obliczonych na efekt, blask swojego panowania podwyższyć. Z rodzaju sztuk podobnie okolicznościowych istnieje cały szereg tak zwanych *comédies-ballets*, w których poeta wysilać się musiał na przeplatanie swoich pomysłów scenami treści najczęściéj mytologicznéj,, niekiedy pasterskiéj, fantastycznie czarodziejskiéj lub innéj, dla otworzenia również obok Talii pola popisu Muzom tańca i muzyki, nawet rzeźbie, malarstwu i architekturze:— szło bowiem o to, by smak wykwintny zadowolić we wszystkich kierunkach, — żeby wszystkie zmysły wielkiego władcy i dworu jego połechtać. Otóż trudno zaprzeczyć, że z jednéj strony przykry to widok, gdy talent, gdy geniusz, wyzyskiwane bywają na zadość uczynienie kaprysom pojedynczéj, niechby najpotężniejszéj jednostki, — trudno zaprzeczyć, że w wymuszonych, najczęściéj przesadnych pochlebstwach, któremi ów geniusz i talent staje się owéj jednostce służebnym, dla ludzkiego charakteru genialnego artysty jest coś istotnie poniżającego, coś, co nie zgadza się z ową czcią niemal religijną, jaką dla olbrzymich ducha wybrańców zwykliśmy w sercach naszych piastować. Widok — to tém przykrzejszy, ile że nie często się zdarza, by najsamodzielniejsza nawet intelligencya, skoro raz już weszła na tę drogę zbyt śliską, umiała się na niéj w równowadze swojéj twórczości utrzymać. Ale są z drugiéj strony natury tak szczęśliwie uposażone, że to, co u innych byłoby niemal niepodobnym do przebycia szkopułem, u nich staje się właśnie szczeblem do nowego, samoistnego wzniesienia. Takim mianowicie był Molière, który we wszystkich prawie swoich utworach okolicznościowego znaczenia, umiał zabawiać dwór i monarchę pochwyceniem charakterów i typów, wyjętych po większéj części z własnego ich otoczenia, i stawiać im tém samém przed oczy wierne zwierciadło, w którém odbijały się zarazem własne ich śmieszności, własne ich zdrożności i wady. Do rzędu takich *comédies-ballets*, lub przynajmniéj sztuk zamówionych na dworskie uroczystości, już należeli „Natręci" (les Fâcheux), o których miałem zaszczyt mówić w ostatnim odczycie, — *Monsieur de Pourceaugnac*, zabawny portret prowincjonalnego szlachcica, — *Le bourgeois gentilhomme*, typ spanoszonego mieszczucha. — cała serya komedyi poświęconych fałszywym pozorom nauki, jak *Les femmes savantes* (Kobiety uczone) *L'amour médecin* (Miłość lekarzem), *Le médecin malgré lui* (Lekarz z musu), *Le malade imaginaire* (Chory w imaginacyi), — że już pominę *Księżniczkę Elidy*, przerobioną z hiszpańskiego poety Moreta, któréj przekład, p. t. *Dony Diany*, ma się wkrótce podobno u nas ukazać na scenie, albo *Les amants magnifiques* (Wspaniałe konkury), w których z tak subtelną ironią wyśmiewa wybryki przepychu i zbytków w tych samych właśnie dworskich festynach, które blaskiem swego talentu miał sobie polecone podtrzymać. We wszystkich tych sztukach, głęboki satyryk i komik jest poetą swojego czasu i zarazem ludzkości, — nie tylko bowiem on pierwszy dostrzegał i karcił śmieszności w rzeczach tych samych, które jemu współcześni brali i cenili na seryo, ale te zdrożności i wady wcielał w kreacye niczém niezatartéj trwałości. Molière kojarzył cechy namiętności ogólne z oddzielnemi właściwościami pojedynczego człowieka; — wszystkie jego postacie mają swoją fizyognomię odrębną, tak osobistą, że ją z pomiędzy tysiąca innych na pierwszy zaraz rzut oka rozpoznasz: — rzekłbyś, że między niemi przepędziłeś długie lata swojego życia, — a przecież każde stulecie napotyka u nich na swoje skłonności i wady. Są one jednocześnie rzeczywiste, jak indywidua, i wiekuiście trwałe jak typy.

Otóż w tych pełnych gorącej prawdy obrazach życia, jakie przedstawia nam Molière, jest on nie tylko malarzem, ale przedewszystkiem poetą. Jego figury, to nie portrety, ale kreacye. W twórczości swojej Molière kieruje się temi samemi prawami, według których postępuje natura; — Molière jest raczéj na równi z nią twórcą, aniżeli jej naśladowcą, skoro, jak ona, z jednego kiełkującego zarodku wydobywa na światło dzienne najpiękniejsze swoje pomysły.

Intryga, która w tych najlżejszych nawet utworach Molièra porywa w swój wir występujące w nich i działające postacie, — cała intryga jaśnieje olśniewającym blaskiem jego imaginacyi. Niepowściągniony niczem zapał serdecznego wesela rozgrzewa i wstrząsa cały ten świat komiczny i nakształt słońca na horyzoncie nieba południowego tryska zewsząd tysiącami brylantowych promieni. A co najdziwniejsza, to, że ten żar radosnego humoru, te porywy fantazyi rosną w Molierze wespół z wzrastającą w jego umyśle zdolnością surowej obserwacyi filozoficznej; — w miarę tego, jak wzrok większej nabiera głębokości, jego werwa komiczna coraz pienistszym kipi strumieniem. Jest-to, jakoby liryzm dityrambiczny, szał upojenia ironii i żartu satyrycznego, buchający na świat śmiechem głośnym, serdecznym. Szczytem tego rodzaju jest bez wątpienia *Chory w imaginacyi*, gdzie poeta przedstawia dość pospolitą w życiu powszedniém postać Argona, którego całém szczęściem jest przywidzenie choroby. Największą rozkoszą życia jego są leki. Całego człowieka maluje monolog, gdzie przepatruje aptekarskie rachunki, które jak się (mówiąc nawiasem) pokazuje, w owych czasach nie bywały mniejsze od dzisiejszych:

„Trzy a dwa to pięć, a pięć to dziesięć, a dziesięć to dwadzieścia.. Potém „z 24go maleńka operacyjka

przygotowawcza, rozmiękczająca, dla odwilżenia i rozmiękczenia wnętrzności." Co mi się podoba w tym panu Fleurant, że, jak przystoi na aptekarza zawsze wyraża się bardzo grzecznie. „Maleńka operacyjka dla odwilżenia wnętrzności, trzydzieści sous." Tak, ale, panie Fleurant, nie dosyć być grzecznym,—trzeba także być skromnym w swoich rachunkach i nie zdzierać skóry z chorego! 30 sous za maleńką operacyjkę! Bóg zapłać! w innych rachunkach zawsze podawałeś je na 20, a kiedy aptekarz zaceni 20, to należy się nie więcéj, jak 10. Potém „z tego samego dnia, spora operacyjka z rumbarbarum, ulepku różanego i innych środków, według przepisu pana Doktora, 30 sous." Przepraszam pana, to 10. Potém „jeszcze z 24go, mixtura anti-wątrobiana, na sen, 35 sous." To nie za wiele, bo po téj mixturze spałem wybornie. 10, 15, 16 i 17 sous, 6 denarów. Potém „z 25go, mixtura wzmacniająca z kassyi z senesem, podług przepisu Doktora Purgon, dla wypędzenia żółci, 4 liwry." Oto, panie Fleurant, to już czyste są kpiny! przecież i chorzy muszą żyć! Doktór Purgon nie kazał ci żądać czterech liwrów! Niech już będzie 3, a więc 3 liwry, 20 i 30 sous. Potém, „z tegoż dnia dekokt ściągający, 30 sous." No! 10 i 15 sous. „Potém z 26go operacyjka orzeźwiająca, 30 sous." 10 sous, panie Fleurand! „Potém tegoż dnia wieczorem, taka sama operacyjka, 30 sous." Panie Fleurant, 10 sous! „Potém, z 27go duża flaszka mixtury dla wypędzenia humorów, 3 liwry." Dobrze, 30 i 20 sous; cieszy mnie, że nie przesadzasz. „Potém z 28go, orszadka, dla złagodzenia i orzeźwienia, 20 sous." Dobrze, 10 sous. „Potém kordyał z bezoaru na prezerwatywę, z sokiem cytrynowym, podług przepisu, 5 liwrów." A, panie Fleurant, wstrzymajże się z łaski swojéj w zapędach! jeżeli tak będziesz nadal postępował, to się człowiekowi odechce być chorym; będziesz miał dosyć 4 franki: 20 i 40 sous. Trzy a dwa pięć, a pięć dziesięć, a dziesięć dwadzieścia, 63 liwry, 4 sous, 6 denarów. W tym miesiącu zażyłem więc, 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8 mixtur i zrobiono mi 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10, 11, 12 operacyjek; w przeszłym miesiącu było 12 mixtur i 20 operacyjek. Już teraz się nie dziwię, dla czego mi w tym miesiącu gorzéj, niż w przeszłym; powiem panu Purgon, niechaj to wynagrodzi!"

Oczywiście dla takiego zwolennika kuchni łacińskiéj najmilszą figurą musi być lekarz nawet na zięcia, więc też bez wahania się gotów jest córkę Anielę oddać za młodego adepta sztuki Hippokratesa, który wraz z ojcem swoim, także doktorem, i wspomnionym już panem Purgonem, tworzy paradną trójkę zabawnych pedantów. Zamierza on skojarzyć ten związek wprawdzie w brew woli Anieli, która już afekta swoje zwróciła gdzie indziéj, ale też i wbrew woli drugiéj swéj żony, pragnącéj pasierbicę raczéj umieścić w klasztorze, żeby się majątkiem Argona obłowić; sprytna subretka Antosia, sama za lekarza przebrana, niweczy zachcenia obojga małżonków, a podczas udanéj śmierci Argana, dawszy mu poznać żoniną obłudę, łatwo już skłania serce ojcowskie do zgody z życzeniami obojga kochanków. Niezrównanie obfitym w najdowcipniejsze szyderstwa, w najzjadliwszą satyrę, jest epilog téj sztuki, parodya doktoryzacyi młodego lekarza, cała wierszem makaronicznym, t. j. pół łacińskim i pół francuzkim; prezes zagaja zgromadzenie, życząc zebranym zdrowia i apetytu, i wyrażając swą radość z tak pożytecznego wynalazku, jakim jest Medycyna, — pożytecznego naturalnie dla samych lekarzy. Obecni, jeden po drugim, zwracają się z pytaniami do kandydata, wyliczając z kolei wszystkie prawie choroby, co do których pragną wiedzieć jego metodę leczenia: — odpowiedź młodego uczonego brzmi jednostajnie na wszystkie pytania:

Clysterium donare, potém krew puszczare, w końcu purgare: Repuszczare, repurgare et reclysterisare.

Niemniéj ostrą krytyką chłoszcze Molière doktorów w *Lekarzu z musu* (Le médecin malgré lui), gdzie Sganarelle, mąż Martyny, biedny drwal, lecz który skończył podobno I klassę gimnazyum, niegdyś służący u jakiegoś Eskulapa, gdy żonę swoją w potulnym swarze domowym obłożył kijami, zostaje przez nią, dla pomszczenia téj krzywdy, podany za doktora dwóm wysłańcom Geronta, który w rozpaczy dlatego, że córka jego zaniemówiła, każe szukać najsławniejszego w świecie lekarza przeciwko chorobie, z którą wszystkie dotychczasowe leki nic wskórać nie mogły. „Najłatwiéj poradzić— mówi Martyna,—tu w lesie człowiek obcina gałęzie, u którego najzjadliwsze choroby są fraszką. Jest-to największy doktór jakiego możecie sobie wyobrazić, tylko przytém dziwak, kapryśnik, ubiera się dziwacznie, udaje nieuka i niczego tak nie unika, jak praktyki. Manja ta tak daleko czasem u niego zachodzi, że nie wprzódy przyzna się do swojéj umiejętności, aż go kto porządnie obije:

My, jak go nam potrzeba, tak robimy zawdy:
Bez kijów nic nie będzie.

Walery

To figlarz, doprawdy!

I idąc za wskazówką zacnéj małżonki, dwaj słudzy Geronta siłą razów sprowadzają Sganarella do swego pana. Następuje w obecności ojca scena z pacjentką, któréj niemota oczywiście jest także tylko udaniem; bo

Miłość jej istotną do tego pobudką, —
Chcąc bowiem zwlec zamężcie, którém jéj grożono,
Na pomoc przywołała chorobę zmyśloną.

Otóż ta scena jest znowu arcydziełem najwyższego komizmu, z którym Sganarelle, dowcipny nieuk i filut, pogodziwszy się nareszcie z gwałtem sobie zadanym, występuje w roli parodyującéj pedanckiego doktora:

Sganarelle

To do téj pacyentki wzywać mię pan raczy?

Geronte

Jeśli mi żyć nie będzie, ja umrę z rozpaczy.

Sganarelle

A niech ją Bóg uchowa! zkądże ta chimera?
Bez recepty doktora niechaj nie umiera!
Coś ta chora niczego! ja powiadam śmiało,
Że się i najzdrowszemu z nią zgodzić by chciało.

Geronte

Uśmiechnęła się, panie!

Sganarelle

Brawo! mieć nadzieję!
To najlepszy prognostyk, gdy się chory śmieje.
Cóż to się pani stało? na coś pani słaba?

Lucynda

He — be — ba —

Sganarelle.

Co takiego?

Lucynda

He — ha — be — be — ba — ba.

Sganarelle.

Co? co?

Lucynda

Be — ba — ma — nanna —

Sganarelle.

Ba — be — ma — me — nanna?
Dalibóg nierozumiem, co prawisz aćpanna.
Co u licha za język, bez żadnego sensu?

Geronte

To właśnie sęk! mam tyle smutku i expensu!
Oniemiała! i nie wiem, z czego, na nieszczęście!
I ta dziwna choroba zwleka jéj zamężcie.

Sganarelle.

A to czemu?

Geronte

Dla tego, że jéj narzeczony,
Człowiek bardzo bogaty, nie chce nieméj żony.
Czeka więc, aż przemówi.

Sganarelle.

Cóż to za systema!
Nie chcieć, by żona była całe życie niema!
Dałby Bóg, żeby moja żyła w téj chorobie!
Kurować ją, dalibóg, zabroniłbym sobie!

Geronte

Mój panie, zechciéj wszystkich swych starań dokładać,
By ona wyzdrowiała i zaczęła gadać.

Sganarelle.

O! niech pana tak bardzo smutek nie przenika!
Czy też mocno ją trapi ta choroba dzika?

Geronte.

O! i bardzo!

Sganarelle.

To dobrze! Czuje ból i mękę?

Geronte.

Bardzo czuje.

Sganarelle.

Tém lepiéj! Daj — no pani rękę!
Otóż masz! Ona niema! Puls, jak młotem kuje!

Geronte.

A, tak jest! pan dobrodziéj od razu zgaduje!

Sganarelle.

My wielcy doktorowie wszystko zaraz wiemy!
Nieuk jakiś, na myśli mając rejteradę,
Nie wiedziałby w tym razie, jak sobie dać radę:
Plótłby ni to, ni owo; to: *gdyby*, — to: *ale*!
Ja zaś *w ten*! tak od razu, jak marjasza palę!
A zatém mówię z góry! widzi pan dobrodziéj,
Że pańska córka niema.

Geronte.

Zkądże to pochodzi?

Sganarelle.

Nie ma się czém kłopotać i zachodzić w głowę;
Ta temu jest przyczyna, że straciła mowę.

Geronte.

Wielka prawda! przyczyna wcale nie zawiła!
Ale jakiż jest powód, że mowę straciła?

Sganarelle.

To rzecz prosta jak obręcz, bo to ztąd wynika,
Że się u niéj przecięło działanie języka.

Geronte.

Dla czegoż się działania języka przecięło?

Sganarelle.

Mój kuma pisał o tém bardzo piękne dzieło, —
Strach, jak piękne!

Geronte.

Ja wierzę!

Sganarelle.

To człowiek nielada!

Geronte.

Bardzo wierzę.

Sganarelle.

Okrutnie mądrze rozpowiada
Nauki, argumenta, nad rozum człowieczy!
A wszysko po łacinie! Lecz, idąc do rzeczy,
Mówi on, pogardzając szarlatanów zgrają,
Że są w ciele humory, które wyziewają
Tak silnie, iż nareszcie człek staje się niemy;
My doktorzy takowe powszechnie zowiemy
Humorus wyziewajus;—bardzo są niezdrowe,
To jest... takie humory.... aż zachodzą w głowę
Pary, co na języku zatykają pory, —
A te pary, mój panie, gorsze niż humory.
Przyczyną téj chorobie ważnéj w Medycynie,—
Zkąd wchodząc.. pan dobrodziéj umié po łacinie?

Geronte.

Ani joty.

Sganarelle.

Doprawdy?... aby mnie zrozumieć,
Trzeba, panie, koniecznie po łacinie umieć.

Geronte.

Nawet się nie uczyłem.

Sganarelle.

Szkoda! bo to przecie
Bez łaciny, mój panie, ani raz na świecie!
Więc, jak pisze mój kuma, *meus substantivus*,
Singularis pluralis cum nominativus,
Vanitas vanitatis; *latinus wyrazus*,
Per genera, *mospanie*, *numerus et casus*.
Prawda, panie?

Geronte.

Żadnego nie rozumiem słowa.

Sganarelle.

Te pory, których panu objaśnić nie umiem,
Przechodząc z lewéj strony, gdzie wątroba leży,

Do prawéj, gdzie jest serce i krew kołem bieży,
To sprawują, że płuca, nazwane właściwie
Z łacińskiego *plucosus*, w ścisłem są ogniwie
Z mózgiem aż w saméj czaszce, uszów, oczów blisko;
A czaszka nosi greckie *lalompus*, nazwisko,
Przechodząc przez arteryę, która się nazywa
Po hebrajsku *churidius*. i w karku się skrywa,
I spotyka w swéj drodze wspomnione wapory,
Które tuż przy łopatkach zajmują otwory.
Zaś wspomnione wapory — uważaj pan bacznie,
Bardzo proszę—więc tedy, kiedy krew grać zacznie,
Nabywają — słuchaj pan — téj jadowitości —
Jak mówię, jak powiadam — przechodzą wzdłuż kości —
(Niech pan to zauważa, bo to rzecz ciekawa!)
Tak temi humorami czaszka się napawa,
Że błonki, co na mózgu — niechże pan dobrodziéj
Pilnie słucha, bo z *tego* choroba się rodzi: —
Słuchaj pan!..

Geronte.

Słucham!

Sganarelle.

która, przy dymie waporów
Rodzi się i powstaje z ostrości humorów, —
Które także powstają w takiéj operacyi,
Z dymiącéj kontumacyi, frakeryi, konsolacyi.
A zatém te wapory, *genus femininus*,
Stultosus conjugensis nequam masculinus.
Declinosus, — więc jaśnie ztąd się pokazuje,
Że pańska córka niema!...

Geronte.

Zapewne, że nie można lepiéj rezonować!
To tylko mnie zadziwia, pan darować raczy,
Że wątrobę i serce umieszczasz inaczéj.
Zdaje mi się, że *serce* jest po lewéj stronie,
A *wątroba* po prawéj.

Sganarelle.

Ja panu odsłonię
Sekret naszéj nauki. Tak to dawniéj było!
Dziś w nowéj Medycynie już się to zmieniło.
Niezupełnie, to prawda! bo to, proszę pana,
W każdéj rzeczy *powoli* następuje zmiana;
A że się Medycyna coraz doskonali,
Więc dawny tryb leczenia się całkiem obali.
Między nowém i starém straszny leży przedział!
Teraz wszystko inaczéj.

Geronte.

Tego, tom nie wiedział!

Sganarelle.

To nic! panu, z rozsądkiem zdrowym, oświeconym,
Niekoniecznie potrzeba być, jak ja, uczonym,

Geronte.

Zapewne! Ale teraz, w méj córki chorobie,
Niech mi pan dobrodziéj powie, co ja zrobię?

Sganarelle.

Powiem panu, tymczasem co zrobić potrzeba:
Wziąść wina i umoczyć jednę kromkę chleba,
I dać jéj zjeść.

Geronte.

Dać jéj zjeść?

Sganarelle.

Chléb zmoczony w winie
To sprawuje, że mowa jakby cudem płynie.
Wszak toż dają papugom, chcąc, żeby gadały!

Geronte.

A! dobrze pan powiada! Sposób doskonały!

(d. c. n.)

WSPOMNIENIE KLARYNECISTY.

OPOWIEDZIANE PRZEZ

ERCKMANN'A I CHATRIAN'A

PRZEŁOŻYŁ

Jan Chęciński.

(Dokończenie.)

Od czasu do czasu Waldhorn wołał:

— Kasprze na miłość Boga, nie dmij tak mocno! nikogo więcéj nie słychać tylko ciebie!

Ale nic niepomogło, grałem ciągle to o pół tonu wyżéj, to o pół tonu niżéj od drugich z policzkami nadętemi aż pod sam nos i z zamglonemi oczyma.

Waldhorn się niecierpliwił, a towarzysze spoglądali na mnie z podziwieniem, bo się coś podobnego nigdy nie przytrafiło.

Nagle, około czwartéj, grzmiący głos wuja Konrada zbudził mię z zamyślenia; otarłem oczy i zacząłem patrzeć.

Wszyscy współbiesiadnicy jego weszli, można sobie wyobrazić w jakim stanie; wuj na czele w swoim wielkim, wstęgami ozdobionym kapeluszu na bakier, prowadząc pod rękę matkę Wagner, za nim Yeri-Hans z Margredel, potem burmistrz z panią Seypel, potem inni para za parą, czerwoni jak raki. Wujaszek wznosząc ręce wrzeszczał „hura! hura!" aż się *Madame-Hütte* trzęsła; dryblas kanonier z wilgotnemi oczami, pochylał się ku Margredel i rozmawiał z nią jak zakochany, pokręcając wąsa.

Na ten widok zacząłem dąć tak mocno żem sadził koguta po kogucie, aż Waldhorn niemogąc wytrzymać, zawołał:

— Czyś ty ogłuchł Kasprze! na imię nieba przestań, bo rozpędzisz całą salę!

Co mnie kto obchodził? niechby pouciekali! byłem w takiéj rozpaczy żem na nic nieuważał.

Tymczasem wujaszek zaczął walcować z matką Wagner, położywszy ręce na jéj ramionach, podług dawnéj mody. Za jego przykładem poszli wszyscy zaproszeni, potem nic już niewidziałem; sala i ludzie, ściany i ławki, wszystko kręciło się przedemną. Słyszałem chrapanie fagota, wrzask trąbki, wtórowanie jakby przez nos, drugiego klaryneta i szurganie trzewików po podłodze; widziałem wstęgi latające, kurzawę, ręce tancerzy podnoszące się w górę z rękami tancerek poniżéj rąk, uśmiechnięte twarze, jak te obrazki Montbeliarda, na których widać gromadę weselną, biegnącą do piekła w śmiechu, podskokach, uściskach i szyderstwach.

Kiedym tak marzył. skończono walca, tancerze zaprowadzili swoje tancerki na miejsca, i usłyszałem jak wuj Stavolo zawołał:

— Yeri! to dobra chwila, cóż? jesteś gotów?

— Jestem, panie Stavolo, — odpowiedział kanonier.

Nastało głębokie milczenie.

Domyśliłem się że będą walczyć. Miałem przez chwilę nadzieję, że Yeri złamie kilka żeber wujaszkowi i że się staną śmiertelnemi nieprzyjaciołmi. Wyobrażałem sobie Margredel powracającą do mnie, a ja niby mówiłem:

— Aha! teraz powracasz, alem cię poznał, bądź zdrowa, daj mi pokój.

Te myśli przebiegły jak błyskawica, po czem prawda wzięła górę nad marzeniem i ujrzałem wuja Konrada i Yeri-Hansa wychodzących z baraku. Tłum wysypał się za niemi. Margredel i Yeri wychodząc, zamienili spojrzenie. Margredel była blada, została w barakowéj sali, blisko drzwi, niechcąc przyglądać się z bliska téj walce. Yeri uśmiechał się, widziałem jak kiwnął głową i pytałem siebie: co on chce przez ten znak rozumieć?

Ale prawie natychmiast usłyszałem z zewnątrz krzyk:

— Miejsce! miejsce!

Był to głos wuja Konrada,

Waldhorn i dwaj lub trzéj z moich towarzyszów, niemogąc opuścić estrady, wyjęli deskę z baraku aby widzieć co się dzieje na placu. Więc i ja zbliżyłem się do tego otworu i widziałem jak tłum utworzył już koło; mężczyzni, kobiety i dzieci na ramionach swoich ojców, czekali widowiska. W pośrodku koła wuj Stavolo i Yeri-Hans, zdjąwszy kaftany i oddawszy kapelusze do trzymania, mierzyli się poważnie oczyma.

— Yeri, tym razem weźniemy się w pół, powiedział wuj.

— Jak tylko chcesz panie Stavolo, — czekam, — odrzekł kanonier.

— A więc naprzód i bez urazy! zawołał grzmiącym głosem wujaszek.

— Bez urazy! odpowiedział Yeri-Hans.

Chwycili się z przerażającą siłą, ich nogi skrzyżowały się, ramiona oplotły około bioder przeciwnika, usiłując powalić go o ziemię; z piersi jednego i drugiego wydobywały się ciężkie westchnienia, na usta wystąpiła piana.

Dostrzegłem, że wujaszek chciał przewrócić Hansa owym próbowanym na mnie sposobem, ale kanonier znał się na takich sztuczkach, bo z uśmiechem cofnął ramię. W tedy wuj próbował powalić go przez nogę, lecz Yeri-Hans nadstawił także swojéj; szło zatem o to, który z nich będzie miał siłę pochylić przeciwnika, ku nadstawionéj nodze co dla obydwóch było zarówno trudnem.

Wujaszek był blady jak pierwszym razem, Yeri zaczerwieniony po uszy. Tłum przyglądał się w milczeniu, kiedy jedno z dzieci siedzące na plecach ojca, krzyknęło:

— Kanonier mocniejszy!

Usłyszawszy to wujaszek, odwrócił głowę i z wściekłością spojrzał na dzieciaka, a Margredel w tejże saméj chwili przecisnęła się przez tłum, i dostrzegłem że wlepiła w Hansa spojrzenie, jak gdyby chcąc mu o czemś przypomnieć. Dryblas kanonier miał oczy czerwone, wąsy najeżone, trzymał wuja Stavolo w powietrzu; ten znów, z rozszerzonemi nogami, szamotał się okropnie, chcąc dosięgnąć gruntu a niemogąc tego uczynić. Byłby już leżał, lecz zaledwie nadbiegła Margredel, oczy Yeri-Hansa złagodniały, i westchnąwszy postawił ojca Stavolo na ziemi. Wreszcie, po upływie minuty, udając że stracił oddech, pozwolił podnieść siebie i rzucić pośród ogólnych wrzasków podziwienia. Usiłując powstać, zachwiał się niby i dotknął gruntu obiema łopatkami, przez co wuj Konrad został zwycięzcą.

Natenczas, wujaszek zdziwiony więcéj niż inni swoją wygraną, chwycił za obie ręce kanoniera i zapytał:

— Yeri, czyś zasłabł?

— Nie, panie Stavolo, nie, dzięki Bogu, — odpowiedział Yeri-Hans, patrząc na Margredel rozpłomionemi oczyma, — nigdy się nie miałem lepiéj. Ale dla was palma, mistrzu Konradzie, zwyciężyłeś mię!

To mówiąc otrzepywał sobie piasek z ubrania.

Wujaszek uniesiony zapałem, zawołał:

— Yeri, w mocowaniu za kołnierze, ty jesteś najsilniejszym z ludzi jakich znam; ale w zapasach za bary, ja znowu jestem najsilniejszy. Jednak, bez urazy, uściskajmy się!

— Bez najmniejszéj, odrzekł kanonier nie spuszczając oka z Margredel.

Uściskali się, a Margredel patrząc na nich zdaleka położyła rękę na sercu. Wtedy pojąłem wszystko; ten dryblas kanonier pozwolił się pokonać przez miłość. Wiedział, że powaliwszy wuja o ziemię, niemógłby ani widzieć Margredel, ani prosić o jéj rękę; to też podstępem zdobył przychylność wuja Konrada człowieka dumnego, pełnego próżności i tem bardziéj zaślepionego, że się bał Yeri-Hansa i sam niewiedział jakim go u licha sposobem pokonał. Teraz obawiał się tylko aby tamten nie zażądał odwetu, — to też zapobiegając temu, całował go w oba policzki, powtarzając:

— Tak Yeri-Hansie, w mocowaniu za kołnierze, niema równego tobie.

I odwróciwszy się do tłumu, dodał:

— Słyszycie! za kołnierze, oto człowiek najsilniejszy! Ja, Stavolo, mówię to, — a kto zaprzeczy, ze mną mieć będzie do czynienia!

—Ah! Yeri, dałeś mi twardy orzech, ale kiedym go zgryzł, trzeba się bawić! Daléj! bierz Margredel, Yeri, bierz Margredel, tańcujcie moje dzieci, weselcie się! Zostaniesz u mnie przez całą uroczystość, słyszysz Yeri? pohulamy sobie, zabawimy się; tak, pozostaniesz u mnie.

— Chętnie, chętnie, panie Stavolo, to dla mnie wielki zaszczyt.

— Zaszczyt? cóż znowu! to dla mnie zaszczyt.

— A wy co? czegóż stoicie? idźcież do licha, zawołał wujaszek na ludzi, którzy słuchali zdumieni, — bo się jeszcze obawiał aby widok tego tłumu cieka-

wych, nie natchnął Yeri-Hansa myślą ponowienia walki.

Zapiął kaftan, pomógł kanonierowi wdziać mundur, potem, wziąwszy go pod rękę: Aj! kamracie,— zawołał, — co powiesz, gdyby tak nas dwóch ośmielono się wyzwać?.. Dziesięciu, piętnastu, dwudziestu, bodajby wszystkich co tutaj są nie zlęklibyśmy się, nieprawdaż?

Tak mówił ten stary warjat, jak sześcioletnie dziecko.

Kanonier śmiał się w milczeniu, ale widok Margredel rozbrajał go. Zapiął mundur i nareszcie rzekł:

— Panno Margregel, chociaż zostałem pokonany przez twego ojca, nie trzeba wstydzić się tańczyć ze mną.

— Wstydzić się? zawołaj wuj, — niech no by sprobowała, czyż za kołnierze nie jesteś odemnie silniejszym? Wstydzić się! słuchaj Margredel, jeżeli mi chcesz uczynić największą przyjemność, tańcz z Yeri-Hansem. Ja pójdę wypić szklaneczkę pod *Trzema Gołębiami*. Pilnuj mojéj córki Yeri, zaraz powrócę.

Ten człowiek niegdyś tak rozsądny, byłby w tym dniu oddał żonę, dzieci, dom i wszystko, aby uchodzić za najsilniejszego z całéj okolicy. Dziś jeszcze, na samą tę myśl, włosy powstają mi na głowie. Taka to chciwość sławy!

Yeri-Hans i Margredel weszli do *Madame Hütte*. Trudno mi opowiedzieć jak z sobą tańczyli, jak spoglądali na siebie, jak Margredel walcując opierała skroń o pierś tego kanoniera, powiem tylko, że Margredel swojem postępowaniem tak zniechęciła mię w tym dniu do siebie, żem natychmiast powziął niezmienne postanowienie. Powiedziałem sobie:

— Gdyby nawet Yeri-Hans wrócił do Afryki, niezaślubiłbym nigdy Margredel. Skończyło się między nami, niechcę jéj.

Ale to wszystko jedno, zawszem ja cierpiał patrząc na nich, i przez te trzy dni uroczystości straciwszy resztę nadziei, wyznaję że chciałem umrzeć.

Najsmutniejsze w tem wszystkiem było zaślepienie wuja Stavolo. Yeri-Hans stał się prawdziwem jego bożyszczem, pysznił się że go może traktować, poić, karmić i przechadzać się z nim pod rękę, po wiosce. Kanonier miał najpiękniejszy pokój z całego domu; co rano, wuj Konrad chodził go budzić około siódméj, z butelką kütterle i dwiema szklankami, które stawiał na nocnym stoliku. Słychać ich było śmiejących się i rozpowiadających sobie o swoich dawnych potyczkach. Margredel niemogła pohamować niecierpliwości, dopóki Yeri nie zszedł do wielkiéj izby; wtedy uśmiechała się do niego, nalewała mu kawę, pochylała główkę z wdziękiem, chodziła na paluszkach, niewiedziała co robić, aby coraz bardziéj oczarować tego siłacza, tego przystojnego, odważnego, tego strasznego Yeri-Hansa. Co do mnie, byłem w domu jak obcy!

Nareszcie, czwartego dnia, znużony tem wszystkiem, rano, ale to bardzo rano, upakowałem moją torebkę, poskładałem porządnie odzież, koszule i inne rzeczy, wziąłem klarynet, i około siódméj, właśnie w chwili kiedy wujaszek szedł z butelką i szklankami, spotkał mię na schodach z podróżnym kijem.

— A! to ty Kasprze, rzekł do mnie, gdzie idziesz tak rano?

— Idę z Waldhornem i innemi towarzyszami, — odpowiedziałem, — teraz pora ciągłych uroczystości, trzeba korzystać; wydalam się na jaki miesiąc.

— Ah! doskonale! — odrzekł, — niezapominaj o dwóch morgach winnicy!

— Bądź spokojny wujaszku, o niczem niezapomnę.

Scisnęliśmy się za ręce i odszedłem.

W sieni na dole, Margredel, któréj pilno było zobaczyć Hansa, właśnie przechodziła z imbryczkiem kawy. Kolana zgięły się podemną; wyrzekłem drżącym głosem:

— Bądź zdrowa Margredel.

— Ah! to ty Kasprze?

— Tak, to ja; bywaj zdrowa Margredel...

— Odchodzisz?

— Odchodzę... i to na dosyć długo...

Mówiąc to patrzyłem w jéj oczy, zdawała się pojmować mię i zgadywać że odchodzę na zawsze. Widziałem to po jéj pomięszaniu.

Ja zaś płakałem w głębi piersi... czułem jak gdyby łzy spadające jedna po drugiéj na moje serce. Jednak starając się o ile mogłem powściągnąć wzruszenie, dodałem:

— Żegnam cię... bądź szczęśliwą gdy mię tu niebędzie...

Wtedy zawołała:

— Kasprze!

Ale nie powiedziała nic więcéj, dopiero po chwili, dodała cicho, ze spuszczonemi oczami:

— Kasprze, będę cię zawsze kochać jak brata.

Natenczas, niemogąc się powściągnąć, ująłem jéj piękną głowę w obie ręce i pocałowawszy w czoło, rzekłem także po cichu:

— Tak.,. tak... wiem o tem... i dla tego oddalam się.. muszę się oddalić... Ah! Margredel, rozdarłaś mi serce!

To powiedziawszy, zbiegłem ze schodów szlochając. Zdawało mi się słyszeć wołanie: Kasprze! Kasprze!

Ale nie byłem pewny; może tylko mój płacz słyszałem.

Na ulicy niebyło nikogo; przybyłem więc pod *Trzy Gołębie* tak rano że nikt niewidział mię płaczącego.

Tegoż samego dnia, odszedłem z Waldhornem i innemi towarzyszami do Orbayot, i historja skończona! Czekajcie!.. w sześć tygodni potem, na początku zimy, będąc w Wasselonne, odebrałem list od wuja Konrada. Oto go macie, bom zachował to pismo:

„Kochany siostrzeńcze Kasprze!

Najpierw donoszę ci, że się winobranie skończyło, że mamy w piwnicy 123 miar wina.

Mieliśmy huk roboty, ale już dzięki Bogu wszystko w porządku. Z tych stu dwudziestu trzech miar, dziewiętnaście twoich, wstawiłem je osobno do małéj piwniczki pod tłokarnią. Meriane dawał mi po trzydzieści franków za miarę, kiedy wino było jeszcze w gronach; nie sprzedałem. Jeżeli dla Meriana miara warta trzydzieści franków, to i dla nas nietraci ceny. Niema się czego spieszyć, za trzy lub cztery lata, wino to nabierze prawdziwéj wartości, a wtedy zobaczymy.

Ale nie idzie o to. Dowiedz się, że od twojego oddalenia zaszły tu wielkie zmiany. Ojciec Yeri-Hansa przybył prosić mię o rękę Margredel dla swego syna; Margredel chętnie przystała. Co do mnie, odpowiedziałem, że ty masz moje słowo, którego bądź co bądź dotrzymam. Nieukrywam ci że Yeri-Hens jest dzielnym i uczciwym człowiekiem; jeżeli więc niechcesz mię pozostawić w najprzykrzejszym kłopocie, staraj się jak najprędzéj powrócić. Przedewszystkiem odpowiedz w jaki bądź sposób.

Sciskam cię

Twój wuj — Konrad Stavolo.“

Odpowiedziałem, że zanadto kocham Margredel, aby ją uczynić nieszczęśliwą, że Yeri-Hans może ją zaślubić ponieważ jest kochany. Ile mnie kosztowało napisanie i odesłanie tego listu, niemogę wspomnieć bez drżenia.

Ta zima była bardzo dla mnie smutna. Ale wiosna co rok powraca za swojemi kwiatami i skowronkami. Kiedy człowiek popatrzy na to śliczne, błękitne niebo, kiedy uczuje łagodne ciepło przenikające piersi jego, kiedy widzi ostatnie śniegi topniejące na łąkach, wtedy błogość spływa mu w serce, szczęśliwym jest że żyje, że może chwalić Boga.

Jednego z wiosennych dni, Waldhorn ze swoją trąbą zawieszoną przez ramię, ja z klarynetem pod pachą, wędrowaliśmy do jakiejś wioski. Marzyłem o Margredel, o wuju Konradzie, o domu, o całéj naszéj wiosce; — radbym był tam powrócić choćby na jeden dzień, popatrzeć na winnice, na góry, na zagrody znajome.

— Co oni tam porabiają teraz? — myślałem sobie. O czem marzy Margredel... wuj Stavolo... i ten...

Szedłem z pochylonem czołem, gdy nagle Waldhorn rzekł:

— Kasprze, przypominasz sobie, że przy schyłku zeszłéj jesieni, w Eckerswir, mówiłem ci o Margredel Stavolo... otóż dowiedz się że ona i Yeri od dawna się kochali.

Ponieważ słuchałem nieodpowiedając, Waldhorn mówił daléj:

— Znasz cygankę Waldynę, ona powiedziała mi sama, że od uroczystości w Kirschberg, nosiła Margredel wieści od Yeri-Hansa. Kiedy w domu niebyło nikogo, Margredel stawiała na najbliższem schodów oknie, doniczkę z rezedą; wtedy Waldyna wchodziła. Otóż to tym sposobem porozumiewali się.

— Dlaczegożeś mię wcześnie nie ostrzegł? spytałem Waldhorna.

— Bah! odpowiedział — co się miało stać, to się i stało; kiedy Margredel kochała kanoniera więcéj niż ciebie, bardzo naturalnie że za niego poszła; to nawet lepiéj, bo byłaby cię uczyniła nieszczęśliwym. A potem, gdybyś się ożenił, ja nieznalazłbym tak dobrego klarynecisty. Wszystko więc poszło wybornie; będziemy grywać razem i dzielić dolę i niedolę do końca życia.

Korespondencja z Krakowa.

16 Sierpnia 1870 r.

Kraków, który głównie najwięcéj ożywia się w miesiącach Maju i Czerwcu — od końca Lipca pustoszeje, bo cała prawie inteligencja ucieka z miasta, przed skwarami letniemi, na ustronia wiejskie. Wincenty Pol wyjechał do *Jaworznia*, prezes Towarzystwa Naukowego Józef Mayer, bibliotekarz Jagielloński Karol Estrajcher, wraz z wielu professorami, siedzą w rozkosznych *Krzeszowicach*, gdzie rok rocznie zbiera się liczna kolonja literatów, używając chłodu pod cieniem drzew starych, i cudnego powietrza z łąk nawodnionych, które tu czterokrotnie koszą. Rzeczywiście dają woń prawdziwie balsamiczną, a Pol który tu co rok zjeżdżał, nazywa ją *powietrzem morskiem*.

Jakkolwiek już drugi miesiąc upływa od czasu bytności w Krakowie waszego artysty Jana Królikowskiego, i raz tylko *w Zbójcach* występywał, a zaziębiwszy się musiał opuścić Kraków, niesłychane wrażenie jakie wywołał grą swoją, żywe obudza dotąd wspomnienia tak w kółkach inteligencji, jak i zwolenników sceny. Że zamiłowanie sceny, znakomicie jest w Krakowie rozwinięte, najlepszym dowodem był zawsze przepełniony teatr, kiedy naprzód Józef Rychter w nim występował, po nim pani Modrzejowska, a w końcu Królikowski. Występ pana Królikowskiego, wywołał szczegółowy rozbiór gry jego w *Zbójcach*, a rozbiór gruntowny i z głęboką znajomością rzeczy napisany, ogłoszony został w jednym z najpoważniejszych naukowych organów. Wysoka wartość tego artykułu, powoduje, że w streszczeniu podać go tu muszę:

„Wyznajmy z góry (są słowa poważnego krytyka) że Franciszek p. Królikowskiego, jest najpotężniejszą kreacją artystyczną, przewyższającą o wiele wszystko, cośmy dotąd widzieli na naszéj scenie od czasu, jak zdajemy sprawę z ważniejszych na niéj objawów. Tu już nie zewnętrzne szczęśliwe warunki, tu nie nagromadzone żywioły powodzenia, tu pierwszorzędny talent, wyższa inteligencja i niezmordowana praca, składają się na majestatyczną, imponującą całość. Patrząc się na tę kreacją, czuje się, że się stoi w obec prawdziwéj sztuki, w obec artyzmu wziętego na serio. Pan Królikowski nie jest tylko artystą; to filozof i psycholog, obrabiający swoje studja z dokładnością i pracowitością Benedyktyna, a z wykończeniem *Benvenuta Celini*. Co za wielka umiejętność w stopniowaniu gry! Wszystko tu doskonałe, fizjonomia, panowanie nad głosem, gest tragiczny, i ten szereg tłoczących się myśli głębokich, prawdziwych, żywcem uchwyconych na naturze ludzkiéj, które przesuwa swą grą artysta przed publicznością.

„Pełen prawdy jest ten Franciszek, kiedy na zimno tysiącami sofizmów, chce się umocnić w zamiarze spełnienia tych wszystkich zbrodni, które go do szczytu jego szczęścia mają doprowadzić. Straszną, a zimnem przejmującą jest owa scena pozornéj śmierci starego Mora. Ta chwila, w któréj nawet Franciszek nie śmie się odwrócić i spojrzeć na zabitego ojca, to następnie zbliżenie się do trupa i nieśmiałe przekonanie się o śmierci ojca, jak gdyby niechciał zgłębiać i zbytecznie się o tem przekonywać,—wszystko to było mistrzowskie i imponujące prawdą. Po dokonanych zbrodniach, Franciszek jest więc panem samowładnym, jak to widać w pozie i wejściu na scenę p. Królikowskiego, jak widać iż ten pan chce teraz używać. Wprost też i śmiało sięga po najpiękniejszy owoc: opór Amelii wywołuje we Franciszku p. Królikowskiego, zdziwienie, szyderstwo, następnie rozbudzenie coraz większe żądzy, a gdy jéj opór, przemienia się w zaczepną walkę, kiedy Franciszek dostaje w twarz, fizjonomia artysty nie mogąc już wynaleść ludzkiego na tę sytuację wyrazu, staje się zwierzęcą, i nabiera coś podobnego do hieny. Na-

reszcie widok sztyletu, daje powód do genialnéj gry, żądza zmysłowa widocznie stopniowo stygnie, ścina się w żyłach Franciszka, i ustępuje miejsca najpodlejszemu, najprostszemu strachowi, takiemu do jakiego zdolnym jest Franciszek. Przez cały czas jest on zbrodniarzem, a jednak nieprzestaje być hrabią Morem. Wielka szlachetność ruchów, to także jedna z artystycznych zalet p. Królikowskiego. Do najpiękniejszych, do najgłębiéj obmyślanych scen, należy wielka scena trzeciego aktu, w któréj Franciszek wpada na mśyl abicia brata Karola. Tu tysiące prawd psychologicznych splecionych jest z tysiącami efektów scenicznych. Tu zewnętrzna gra artysty oddaje wybornie, plastycznie i realistycznie, to co się działo w takiéj chwili w duszy takiego Franciszka; całość i każdy szczegół są tu doskonałe, wrażenie ogromne szczególniéj gdy artysta z tą niesłychaną umiejętnością sceniczną, którą się odznacza, przechodzi z cichego szeptania, to jest szeptania sumienia, do tego głośnego przerażającego krzyku: „Daniel! Daniel!“ który jest krzykiem fizycznego strachu. To też wrażenie było wielkie, takie jakie rzadko artysta wywołać jest zdolny. Cały teatr powstał niemal, a brawa i okrzyki, były tak silne, tak prawdziwe, tak nieustające, że niebyliśmy dotąd nigdy świadkami podobnie silnego wybuchu uniesienia naszéj publiczności, ani też tak wielkiego tryumfu artysty. Nie była to owacja dla artysty, ale artysta porwał publiczność. Wątpimy aby dziś ktokolwiek mógł wyrównać w téj roli p. Królikowskiemu. Niewątpliwie *Lewiński* gra ją znakomicie, jednak w téj scenie wyżéj stawimy Królikowskiego.

„Ostatnia wielka scena maligny, modlitwy i przestroga jest arcydziełem, jest tą doskonałą całością, doskonałością szczegółów, przy wielkiem a widocznem wypracowaniu téj sceny, porywa widza gorące przejęcie się rolą: tu już artysta przestaje być panem siebie, porywa i sam jest porwany, ale porwany w dziedzinę prawdziwego wielkiego artyzmu, któréj granic ani na chwilę nie przekracza. Opowiadanie Sądu ostatecznego jest przerażające, jest w niem coś Michała Anioła. Dodajmy, że wymowa dokładna, pełna, dobitna, nadaje w ustach artysty polskiéj mowie nadzwyczajny urok: to prawdziwie klasyczna wymowa.“ Na tem kończy krytyk krakowski obszerny rozbiór gry znakomitego naszego artysty. Jest on sumienny i z wielkiem znawstwem dokonany, jak wymaga tego godność sztuki i siła talentu p. Królikowskiego.

Teatr tutejszy, po opuszczeniu go przez panią Modrzejowską i p. Rapackiego, niemało podupadł, a dyrekcja żadnych nie zrobiła starań, ażeby wzmocnić truppę swoją. Wegietuje więc z dnia na dzień, ale wcale się nierozwija i niepodnosi.

Ze znanych uczonych tutejszych, znaleźliśmy tylko Józefa Kremera który był na wyjeździe, bo gotował się na podróż do Krynicy. Pozostał zaś dłużéj w mieście, otrzymawszy wiadomość że sędziwy nasz wieszcz A. E. Odyniec, wracając z Karlsbadu pragnie poznać starożytny Kraków, w którym nigdy nie był jeszcze. Towarzyszył mu więc przy obejrzeniu tylu pamiątek dawnego grodu.

Wojna wybuchła i tu znalazła silne echa: nikt nic nieczyta, o niczem nie mówi, jak tylko tęskliwie oczekuje na depesze telegraficzne, które oddzielnie po wyjściu gazet wychodzą. Na rynku, w sieniach domów, gromadki skupione słuchają z zajęciem a w milczeniu czytającego w głos wiadomości z pola bitwy.

W kościele Panny Marji, ulubionym tak przez mieszkańców Krakowa, jak i ludu z całych okolic, arcydzieło dłuta rzeźbiarza Wita Stwosza wielki ołtarz, już odrestaurowany, dawne swoje miejsce zajmuje. Praca to była mozolna, trwająca lat kilka, i dzięki wytrwałości kierowników, a sumiennemu wykonaniu krajowych artystów, droga ta pamiątka XIV stulecia w pierwotnym swoim stanie, zdobi tę najpiękniejszą świątynię Krakowa.

Sukiennice stoją w dawném opuszczeniu: składki idą z uporem, a potrzeba funduszu niemałego dla zachowania téj wspaniałéj budowy i pamiątki po Kazimierzu Wielkim.

Ogródek *Aleksandrowéj*, tak popularny w Krakowie a słynny z pięknego chleba, wyborowego mleczywa, herbaty i kawy, gdzie od początku wiosny, wszyscy prawie literaci miejscowi zgromadzają się na przyjacielską pogawędkę, przez letnie miesiące stracił tych swoich gości zwyczajnych, bo się rozjechali w różne okolice wiejskie,—pomimo to zawsze ma licznych zwolenników swoich.

Mówiono wiele i gazety zagraniczne pisały, o nowych pracach podjętych w obwarowaniu Krakowa. Wiadomość to fałszywa: fortyfikacyje bowiem wzniesione w roku 1866 przed wojną z Prussami, stoją jak dawniéj, tylko więcéj opuszczone. Mury trzymają się dobrze, lecz wały ziemne się osypują a darnowania opadłe, pokazują dawniéj ukryte pale dębowe.

K. Wł. Wójcicki.

NATALJA BORISÓWNA

DOŁGORUKOWA.

POWIEŚĆ

P. Furmanna.

(Dalszy ciąg.)

MĄŻ I ŻONA.

Im daléj wygnańcy odsuwali się do Moskwy, tém drogi były gorsze a miejscami wcale ich nie było, tak że zmuszeni byli kołować, błądzić. Co chwila trzeba było rozpytywać się: którędy, w jaką stronę, mają jechać, furmani przywykli jedynie do miejskiéj jazdy, lub okolic stolicy, tracili głowy, konie także były znużone i z każdym dniem podróż stawała się trudniejsza i bardziéj męcząca.

Pewnego dnia błądząc kilka godzin, podróżni przyjechali nad jakąś dość głęboką rzekę,—mostu nie było, po krótkiéj więc naradzie zdecydowali się jechać brzegiem.

Jechali, jechali, do ostatecznego znużenia, kierując się podług krętego koryta rzeki. Zaczęło się ściemniać. Nigdzie niebyło widać ni mieszkania, ni śladu człowieka, tylko wiatr szumiał w gęstym lesie, goniąc po niebie ciemne chmury, które nakoniec rozpłynęły się w rzęsisty deszcz.

Po zmroku nastała ciemna noc, konie instynktowo postępowały naprzód, od czasu do czasu woźnice drżący i przemokli do kości, schodzili z kozłów, odszukiwać drogi prawie po omacku i prowadzić konie. Długo jechano w ten sposób, aż przecie nakoniec deszcz ustał, chmury się rozsunęły, i na niebo wypłynął księżyc.

Kniaź Aleksy wyjrzał z karety; po prawéj stronie toczyła się bystra rzeka, po lewéj rozciągała się zielona łąka oświetlona księżycem.

— Po co błądzić po niepewnych i nieznanych ścieżkach, rzekł: lepiéj zatrzymać się tutaj, rozbić namioty i przenocować. Jutro da Bóg spotkamy jakiego człowieka i dopytamy o właściwą drogę.

Rozkaz głowy rodziny został niezwłocznie spełniony. Wydobyto namioty zabrane od wypadku, rozpoczęły się narady, zapalono ognie, służba zabrała się żwawo do roboty, i nim minęła godzina już zielona łąka pokryła się namiotami. Rozłożono je zaś w ten sposób: najwyższe a tem samem najlepsze miejsce, wybrano dla Kniazia Aleksego, obok stały namioty córek, nieco daléj nie żonatych synów, namiot kniazia Jana był usunięty na ubocze, jak gdyby nie należał do rodziny.

Natalja ze smutkiem zauważyła tę okoliczność, ale mężowi nie rzekła ani słowa, przeciwnie, starała okazać się zadowolnioną, nawet wesołą, a wziąwszy męża pod rękę poszła z nim przejść się nad brzegiem rzeki.

Oziębiło się po niedawno spadłym wielkim deszczu, jednak wszędzie można było dostrzedz ożywienie przyrody, pod wpływem wiosny. Ziemia pokryta była miękką, świeżą zielonością, oświetloną sinobiałemi promieniami księżyca. Otulając się podróżnym kożuchem, kniaź Jan szedł zadumany obok żony.

Bóg wie o czem tak dumał, jakie myśli przesuwały się w jego głowie, ale był milczący i smutny. Być może że podczas téj wieczornéj przechadzki, wśród bezludnéj przestrzeni, przedstawiło mu się w nieujętych obrazach całe przeszłe jego życie: czem zaś więcéj zagłębiał się w szczegóły tego życia, tem smutniéj, tem ciężéj, robiło mu się na sercu. Wiele oddałby, nie zato aby wyswobodzić się od przykrego teraźniejszego położenia, lecz za wymazanie z swéj przeszłości postępków, które teraz tak ciężko przygniatały jego sumienie! A przecież w ubiegłém jego życiu nie było wyraźnego występku, nie było nawet rozmyślnych złych chęci; były jednak wspomnienia, dla których rumieniec wstydu występował na twarz młodego człowieka, od których boleśnie ściskało mu się serce.....

Bóg obdarzył go znaczeniem i bogactwem, cesarz udarował łaską i przyjaźnią, miał więc wszelkę możność stać się użytecznym ojczyźnie i dobroczyńcą tysięcy bliźnich, nad którymi był wyniesiony. A on cóż uczynił? czem się wypłacił Bogu i cesarzowi za takie wyszczególnienie z tysiąca?

Niczem.

Smutno, niewymownie smutno, było w duszy kniazia Jana, lecz wśród tych moralnych cierpień, w tém uznaniu przeszłéj swéj duchowéj nicości, rozwidniło się w jego umyśle i sercu. Zaczął pojmować że celem życia nie jest jedynie szczęście osobiste, rozrywki i rozkosze, lecz każdy człowiek ma wytknięty wyższy cel, ku któremu powinien dążyć.

I w obec Boga uczynił wewnętrzną, a więc tem uroczystszą przysięgę, że: jeżeli Bóg ulituje się nad nim, jeśli obecne jego położenie się zmieni, to nie ubiegając się o zaszczyty i głośną chwałę, poświęci życie, całe swoje mienie, na usługi kraju i dla dobra bliźnich.

W chwili tych szlachetnych postanowień i tego wzniesienia duszy, gdy siły jego moralne coraz bardziéj hartowały się w cierpieniu jak żelazo w ogniu, kniaź Jan z głęboką miłością zwrócił oczy na swą młodą towarzyszkę.

Jak czyste niebo jaśniało jéj oblicze, pełne życia, miłości, dobroci i wiary; myśl Natalii Borysówny także biegła w przeszłość, lecz ze spokojem i jasnem sumieniem. Bo w życiu jéj wszystko było jasne, ani jedna chmurka nie zaciemniła czystości dziewiczéj. Porównywała przeszłość z teraźniejszością i choć ciało jéj cierpiało, dusza wznosiła się coraz wyżéj, a szlachetny, silny charakter, objawiał się w całym rozwoju dopiero w chwili nieszczęścia.

Przeszłość Natalii była niewinna jak uśmiech dziecięcia, w teraźniejszości stała się prawie bohaterką miłości i osobistego zaparcia, a w przyszłości..... cokolwiek było jéj przeznaczone, widziała przed sobą Boga!

Wstyd, niewymowny wstyd ogarnął kniazia Jana, gdy bliski narzekania wpatrzył się w czarującą swą żonę, nieledwie jeszcze dziecko, dobrowolnie skazującą się na cierpienia, i znoszącą te cierpienia ze spokojem, z mocą i uśmiechem poświęcenia. Z uczuciem pochwycił jéj ręce i silnie do ust przycisnął.

Kniaź Aleksy zjadłszy z rodziną obfitą wieczerzę spał spokojnie.

Tylko w jednym namiocie oddalonym od innych, świecił się ogień: tam dobra i przywiązana francuzka przygotowując skromny posiłek, czekała powrotu młodych małżonków. Powtarzając psalmy Dawida drżała od zimna, przejmującego do kości mimo ciepłe ubranie i futrzaną szubę,

Młodzi małżonkowie chodzili tym czasem ręka w rękę, dusze ich choć bez wyrazów rozumiewały się i jednoczyły.

Nie czując zimna oddychali świeżem nocnem powietrzem, kiedy niekiedy przystawali, ażeby popatrzeć na księżyc i gwiazdy, któremi było zasiane ciemne tło nieba.

CHWILE SAMOTNOŚCI.

Na łące rozpostartéj po jednéj stronie popsutéj drogi, ciągnącéj się brzegiem krętéj rzeki, było rozłożonych blisko tuzin namiotów. W koło nich stały podróżne ekwipaże, karety, bryki, kibitki, do ostatnich były uwiązane konie piękne, lecz zmęczone uciążliwą podróżą. Przy powozach widać było tu i owdzie psy, śpiące zwinięte w kłębek od zimna. Na bryczkach i kibitkach spała służba.

Na północ łąka była zakończona siną smugą dalekiego lasu, a po obydwóch stronach ciągnęły się gęste krzaki, między któremi sterczały pnie ściętych drzew, świadczące iż dawniéj cała ta przestrzeń była pokryta lasem. Z drugiéj strony rzeki brzeg więcéj wzniesiony i piaszczysty, pokryty był sosnowym lasem i czarnemi zwęglonemi pniami zgorzałego lasu.

Rzeka i ciągnąca się brzegiem droga wybiegały z dalekich zarośli, niknęły w sosnowym lesie, i potem znowu w dali między krzakami, migała stalowa wstęga rzeki wraz z towarzyszącą jéj piaszczystą drogą, a następnie ginęły obie w zielonéj gęstwinie.

Okolica była posępna i jednostajna.

Zaczęło świtać: przy kibitkach powstawał pewien ruch. W niewielkiéj od namiotów odległości nad massą suchego chrustu, zaczął się unosić niby dym

łekki, potem wybuchnął jasny płomień. Wkrótce po całym obszarze rozlał się jasny promień słońca, wybiegający z po za sosnowego lasu, i cała przyroda weselszy przedstawiła widok.

Niebo rozjaśniło się; wstęga rzeki stała się błyszcząca, a nadbrzezna zieloność, przerzynana smugami piasku, odbiła się w niej. Ożywione drzewa i krzaki wstrząsnęły listkami, zadrżały pod miłem działaniem ciepłego słońca, a tysiące leśnych ptasząt głośno zadźwięczało pochwalną pieśń Stwórcy wszystkiego piękna, wszelkiego życia.

Służba była już na nogach i każdy zajął się swoją czynnością. Gdy się Natalja przebudziła, uczuła wielkie znużenie i silny ból głowy; namiot ich był postawiony na najniższym miejscu, tak że pościel choć położona na dywanach zupełnie zwilgotniała. Prócz tego, od dzikiego czosnku rosnącego na łące, rozchodził się silny, nieprzyjemny i odurzający zapach. Pomimo cierpienia nie wymówiwszy ani jednéj skargi, Natalja Borysówna spiesznie się ubrała i wyszła wraz z mężem z namiotu. Prawie jednocześnie przed namiotem rozłożonym w najdogodniejszem miejscu, ukazał się kniaź Aleksy owinięty w ciepłą szubę. Obejrzał się, ziewnął i przeciągnął z zadowoleniem. Widoczna było że sobie dobrze wypoczął, i zdawało się iż z odjęciem rang i orderów ujęto mu kłopotów. Obrócił się na wszystkie strony, zasłaniając się ręką od słońca świecącego mu prosto w oczy, po chwili równym mierzonym krokiem zwrócił się ku namiotowi, w którym kręciła się i warczała cała sfora psów, i nawoławszy do siebie, zaczął głaskać i pieścić.

Kniaź Jan z żoną zbliżyli się do ojca, ażeby powiedzieć mu dzień dobry.

— Wyborne miejsce zawołał Kniaź Aleksy; jak sądzisz Janie, tu musi być dużo zwierzyny.

— Tak się zdaje.

— Można by tu urządzić polowanie, podług naszych zwyczajów. Kniaź Aleksy był namiętny, zapalony myśliwy i wprawném okiem ocenił położenie.

Strzelcom natychmiast wydano rozkazy; osiodłano konie, zebrano psy, i po śniadaniu mężczyźni pojechali na łowy.

Osłabiona nocą przepędzoną w wilgoci i chłodzie, wśród nieznośnéj woni czosnku, Natalja powróciła do namiotu ażeby odpocząć. Pierwszy to raz od dnia ślubu pozostała samą, w téj chwili cała moc woli podtrzymująca młodą kobietę w przytomności męża, opuściła ją zupełnie. Padła w objęcia swéj wiernéj towarzyszki i nie wstrzymywała łez: jéj powiernica zrozumiała to nagłe wylanie boleści, nagromadzone w sercu ukochanéj wychowanki, płakała też z Natalją i pocieszała ją jak mogła. Sama wychowana w surowych zasadach, mówiła do Natalji:

— Dziecię moje! wiem co cię martwi, o co płyną łzy twoje. Widzisz, płaczę razem z tobą; lecz Bóg jest miłosierny, On ulituje się nad tobą i udzieli szczęścia, jeżeli nie na tym świecie, to na owym, który stanowi rzeczywisty cel naszej ziemskiej pielgrzymki. Nie upadaj na duchu, Bóg obdarzył cię sercem kochającem i gotowem do poświęceń, duszą silną i wzniosłą; dokonałaś tego co przechodzi siły dojrzałego męża a nie słabej dziewicy, będziesz więc wynadgrodzoną!

Podczas gdy przyjaciółka uspakajała Natalję, za uchylonemi drzwiami namiotu stała i płakała gorzko służąca, w oczach któréj prawie wzrosła Natalja. Prosta ta wiejska dziewczyna przywiązała się do niéj serdecznie.

— Boże! myślała w prostocie ducha, nie strzegliśmy dobrze Pani, to też urzekli ją i przywiedli do zguby!

Polowanie tak zajęło mężczyzn, iż wrócili dopiero wieczorem. Łzy ulżyły tymczasem przepełnionemu boleścią sercu młodéj kobiety, a wierna zaparciu siebie, witała męża z wesołem uśmiechniętem obliczem.

PRZESTRACH MIESZKANCÓW WIOSKI.

Nasi podróżni natrafili na dobrą drogę, jechali więc spokojniéj i weseléj niż przedtem. Im daléj posuwali się na południe, tym widoczniejszy był powrót wiosny. Kobiety poweselały, a mężczyzni zdało się zapomnieli o swojem położeniu.

Podróż szła im bardzo wolno; kniaź Aleksy jako zapalony myśliwy, zaledwie ujrzał jaki gaik lub dogodne miejsce, natychmiast kazał siodłać konie, spuszczać psy, i jechał na polowanie z synami.

W czasie samotności na którą tak często była wystawiona Natalja, największą rozrywkę znajdowała w zajęcach około swego małego podróżnego gospodarstwa.

Wiele już dni ubiegło od téj chwili, w któréj Natalja niewiedziała nawet co zabrać w drogę, jakie zrobić zapasy, teraz z każdem dniem odkrywa nowe potrzeby, a poznając je, zaopatrywała się w niezbędne przedmioty w miasteczkach przez które przejeżdżali. Czyż dawno młoda, niedoświadczana dziewica, uważała otaczający ją zbytek i przepych za konieczny, nie zdając sobie bynajmniéj sprawy, po co i dlaczego on służy? A teraz chowając sama proste nawet rzeczy, strzegła ich i cieszyła się pożytkiem jaki przynosiły, oszczędzając ich więcéj niż kosztownych strojów i drogocenne kamienie, które dawniéj zawieszone na niéj jak na lalce, ani ją grzały ani chłodziły.

Gdy niegdyś same wyborowe potrawy podawano jéj na stół, czyż pomyślała kiedykolwiek jak i z czego potrzeba je przyrządzać? A teraz sama doglądając kuchni, cieszyła się jak dziecko i była szczęśliwą, podając mężowi prosty piróg lub talerz ulubionéj przez niego zupy.

Z zaparciem godnem większego dzieła, zapominała Natalja zupełnie o sobie, ciągle i jedynie myśląc o mężu, ukrywając przed nim wszelkie przykrości i troski. Téj ofiary poświęcenia dopełniała kobieta, niemająca jeszcze lat siedemnastu.

Po przebyciu kilkuset wiorst, podróżni nasi pewnego dnia przybyli późnym wieczorem do małéj wioski, w któréj postanowili zanocować.

Pod wioską płynęła rzeka, nad jéj brzegiem rozciągała się obszerna łąka, na któréj kniaź Aleksy kazał rozbić namioty.

Gdy podróżni wysiedli z powozów, zauważyli w wiosce jakieś wielkie zamieszanie. Pomimo wieczornego zmroku, dostrzegli kobiety i mężczyzn z pośpiechem i przestrachem gromadzących się przed chatami. W rękach niektórych chłopów zapalone latarnie, migały z miejsca na miejsce jak błędne ogniki, od czasu do czasu dolatały do uszu podróżnych, głośne okrzyki rozlegające się we wsi. Dołgorukowie z podziwem zauważyli to niezwykłe zajęcie mieszkańców. Kniaź Aleksy rozkazawszy służbie stać przy powozach, zebrał dla narady, całą rodzinę w koło siebie. Kobiety bardzo były przestraszone. Kniaź Jan zaprojektował, iść do wsi i zapytać się o powód zamięszania.

— Po co mamy iść sami, po co narażać się na nieprzyjemności? zrobił uwagę ojciec, lepiej wysłać służbę.

Rada ta była jednogłośnie przyjęta przez kobiety, i w chwilę, kilku silnych strzelców i innych służących, udało się do wsi. Strzelcy byli uzbrojeni w noże i nabitą broń, służący nieśli latarnie.

Na widok zbliżających się ludzi, chłopi ścisnęli się w jedną gromadę i zaczęli jeszcze głośniéj krzyczeć.

Pozostali przy namiotach podróżni, z niespokojnością śledzili bieg rzeczy.

(d. c. n.)

Agnieszka Sorel.

Kobieta i miłość są to dwa ogromne czynniki, które w historji świata i człowieka odgrywają nie małą rolę, daleko większą niż się uczonym erudytom i zarozumiałym pedantom wydaje.

Wpływ kobiety i miłości w polityce i sztukach jest przemożny, w obyczajach samowładnym, za to w naukach rzadki. Autorek jest bardzo dużo, ale głębokich myślicielek mało. Niech każda strona uprawia swoje zdolności i przymioty, niech każda strona spełnia swoje przeznaczenie, a będzie na świecie mądrze i dobrze.

Wpływ kobiety i miłości jest mniéj więcéj widoczny we wszystkich czasach i we wszystkich krajach — ale najwidoczniejszym jest we Francji. Kiedy postanowiłem przygotować pewne biografie znakomitych kobiet, zawsze we Francji było najwięcéj do tego materjałów: to jest i głośnych kabał, i pamiętników, i studjów o nich. Chodziło tylko o to żeby umieć wszystko zebrać i w zajmującą całość ułożyć.

Różne to były te kobiety: zaczynam od téj, która jest podobno najpiękniejszem zjawiskiem w historji Francji — a może i w historji powszechnéj.

Zaczynam od Agnieszki Sorel.

Król bez korony, monarcha bez kraju, oto Karol VII. Anglicy zabrali mu całe prawie dziedzictwo, Paryż był w ich rękach, a król angielski przybrał tytuł króla Anglji i Francji. Zguba była nieunikniona cud tylko mógł ocalić Francję i ten cud stał się.

Młoda dziewczyna, wieśniaczka, nasłuchawszy się o gwałtach anglików i nieszczęściach swojego młodego króla, głos swego serca wzięła za natchnienie niebieskie; poszła do Karola VII, odpędziła najezdzców od oblężonego Oskara i ukoronowała go francuzkim królem w Reims. Była to Joanna d'Arc.

Kiedy anglicy spalili Dziewicę Orleanską jako czarownicę, król popadł w dawne otrętwienie. Kiedy anglicy wytężali wszystkie siły na to żeby zniszczyć dzieło Joanny d'Arc, Karol VII tym czasem polował i układał balety. Nic nie pomagały przedstawienia jego dzielnych dowódzców, Karol wolał słuchać podłych dworaków i nie raz rumienić się musiał za swoją lekkomyslność.

Pewnego poranku Xaintrailles i La Hire przyśli do króla na radę, właśnie kiedy był zajęty zabawą. Nie na rękę mu była taka wczesna wizyta; nadrabiając miną rzekł do nich:

— Kochani przyjaciele! jakże się wam podoba ten taniec? Panowie anglicy nic na to nie poradzą żebym się nie bawił!

— Tak jest, najjaśniejszy panie, odpowiedział zimno la Hire! Nigdy nikt nie wiedział i nie słyszał żeby jaki monarcha tak wesoło stracił swoje państwo.

Król odwrócił się od natrętnego doradzcy. Był to człowiek dobry i pragnął gorąco być bohaterem dla swojego kraju, ale mu zbywało na potrzebnéj do tego energii, a nikt nie miał tyle wpływu na niego, żeby go wyrwać z tego moralnego letargu.

Wszystko się mu z ręki wymykało: kassa była pusta, a wszyscy kronikarze rozpowiadają nam zabawne sceny o biedzie francuzkiego króla.

Pewnego razu nie stało Karolowi VII obuwia; kazał więc zawołać szewca:

— Panie majstrze! rzekł, weź mi miarę na parę trzewików.

Majster wziął miarę.

— Teraz możesz odejść, ale pamiętaj że trzewiki muszą być natychmiast zrobione.

Majster nie ruszył się z miejsca.

— Czyliż nie słyszałeś? dodał Karol VII.

— Przebacz naj. panie, ale trzeba być akuratnym w interesach.

— Zapewne! ale czegóż chcesz?

— Niczego! Ale nie mogę robić trzewików, na które wziąłem miarę.

— A to dla czego?

— Nie mam zwyczaju kredytować ludziom co nie płacą! Król się mocno rozgniewał, a potem się rozśmiał. Kiedy późniéj opowiedział swoim bliskim tę scenę, ktoś z nich odezwał się:

— Ponieważ anglicy zabierają ci wszystko naj. panie, to słusznie szewc nie chce ci kredytować trzewików!

Król przeklinał swoją otrętwiałość, wołał że chce wypędzić anglików, odzyskać swoje państwo: wołał żeby mu podano miecz i konia, ale wnet ostygał i znów rzucał się w zabawy i uciechy.

Taki miał charakter słaby i ruchliwy. Wrażliwy nie do opisania, miał chwile zapału i odwagi, ale częściéj poddawał się zwątpieniu i rozpaczy. Joanna d'Arc obudziła w nim na chwilę uczucie obowiązku, ale kiedy głos Dziewicy zamarł, zdawało się że całe jéj dzieło runie; w tem się zjawiła Agnieszka Sorel.

Szczęśliwy to był człowiek ten Karol VII. Opatrzność zesłała mu aż dwie kobiety, które się zupełnie poświęcały dla niego, nic dla siebie nie zostawiwszy. Poświęcenie to było w najpiękniejszym kierunku, bo dla uzacnienia monarchy i dla szczęścia kraju. Joanna d'Arc została bohaterką i męczenniczką dla niego; Agnieszka Sorel całe życie była jego aniołem opiekuńczym, a obie sprawiły to, że mu historja, często nie bardzo trafna nadała przydomek *Zwycięzcy*.

Francja tyle jest dłużna kobietom, mówi czuły i skromny Fontenelle, że ugrzecznienie francuzów jest prawdziwym obowiązkiem wdzięczności. Dłużna jest najwięcéj za Karola VII bo kobiety wyratowały króla i kraj od najpewniejszéj zguby. Dotąd jeszcze pamiętają wszyscy te dwa wiersze Jana Marat, w których streścił całą duszę Agnieszki:

Qui toujours songeant à la gloire
Avant de songer de l'amour.

Było to przy końcu miesiąca Października 1431 r. piszą ówcześni kronikarze, w pięć miesięcy po śmier-

ci Joanny d'Arc, kiedy król bawił z całym dworem w zamku Bourges. Tak mało już miał ziemi i zamków, że go anglicy przez szyderstwo przezwali *roi de Bourges*. Nie był jeszcze wtedy *Zwycięzcą*, sprawy jego szły jak najgorzéj; pieniędzy wcale nie było a dwór był smutny. Dla tego to Karol VII lubiący się bawić, z wielką radością się dowiedział, że Izabella Lotaryńgska, żona Rena d'Anjou (andegaweńskiego) przybyła do Bourges. Izabella była to pani niepospolita pięknością i wykształceniem, a przyjechała na dwór francuzki prosić o wolność dla swojego męża, wziętego do niewoli w bitwie pod Bulgneville. Była to trudna sprawa, ale Izabella rachowała dużo na swoją pannę honorową, Agnieszkę Sorel, dziewicę oślepiającéj piękności, a nazywano ją: demoiselle de Fromenteau. Nie omyliła się: Agnieszka od razu zachwyciła wszystkich a króla najbardziéj. Nie stawiała oporu, nie grała komedyi; pokochała serdecznie króla dla tego, że go wszyscy opuszczali, i postanowiła zrobić z niego bohatera i zrobiła, a Francya i francuzi do dziś dnia błogosławią jéj imię i powiadają, że ze wszystkich kochanek królewskich, ona jedna była zbawieniem i chwałą ich kraju.

Trzeba było upozorować miłość króla, żeby Agnieszka mogła opuścić księżną Izabellę i zostać na dworze francuzkim bez zgorszenia. Zmyślano naprzód że ciężko zachorowała, a tym czasem wyrobiono tyle u królowéj Maryi andegaweńskiéj, żony Karola VII że ją przyjęła między swoje damy honorowe. Odtąd do saméj śmierci kochała ją i szanowała, bo Agnieszka nie miała wcale ani dumy ani żądzy panowania i zbytków, ani chęci do błyszczenia, ani kokieteryi wyzywającéj. Była kobietą kochającą i poświęconą, miała wtedy dwadzieścia dwa lat; była córką szlachcica tureńskiego Sorela czy Surela, bawiącego na dworze Clermont i Katarzyny de Maignelais! Urodziła się w r. 1409 we wsi Fromenteau i długo nosiła to nazwisko. Wcześnie utraciła ojca i matkę, chowała się tedy u ciotki pani de Maignelais. Od najmłodszych lat była cudem piękności. Wieśniacy nawet wybiegali ze swoich chat żeby ją zobaczyć, kiedy przechodziła lub przejeżdżała na koniu, a w naiwném swoim poczuciu nazywali ją królową piękności, którą nazwę przyznali jéj późniéj król i panowie dworscy.

„Płeć jéj, pisze współczesny kronikarz, była mięszaniną lilji i róży, oczy prześliczne, których żywość miarkowaną była niewypowiedzianym wyrazem dobroci, usta utoczone przez same Gracye, postawa zgrabna i swobodna, ruchy naturalne i niezmiernie miłe, umysł otwarty i pojętny, rozmowa rozkosznie wesoła a zawsze rozumna, a nie rzadko głęboka. Wszyscy co ją widzieli i rozmawiali z nią, odchodzili: oczarowani jéj umysłem i jéj zachwycającą lubością.

Słusznie tedy ciotka jéj powtarzała:

— Nie frasujemy się wcale o los Agnieszki. Ma rozumu i piękności tyle, że może uszczęśliwić całe trzy rodziny."

Młoda, piękna, rozumna, protegowana przez królowę, a kochana przez króla, w krótkim bardzo czasie Agnieszka Sorel stała się duszą tego małego francuzkiego dworu. Karol VII, który dotąd spotykał same pospolite kobiety spotkawszy się z kobietą wyższą, oddawał jéj cześć pełną poszanowania. Byłby chętnie pochwalił się nią przed całym światem, byłby ją obsypał godnościami i bogactwami, ale skromna Agnieszka odpowiadała zawsze:

— Po co wyjawiać co mnie uszczęśliwia? kocham cię n. panie i kochać cię będę z całéj duszy, ale gdyby się dowiedziano o mojéj miłości, uciekłabym na koniec świata. Długo dla tego związek Karola i Agnieszki był tajemnicą; udawano że nikt o tem nie wie, aż wreszcie mała na pozór okoliczność rozgłosiła ten stosunek i na chwilę zatruła spokojną miłość dwojga serc prawdziwie się kochających.

Agnieszka Sorel mimo ciągłe odrzucanie podarunków króla zbyt rażących, nie umiała wytrwać w téj szlachetnéj bezinteresowności. Naprzód stroje, potem brylanty, daléj pałace, zamki i ziemie przeszły na jéj własność. Dworacy zaczęli szemrać, śmiałek Dunois odezwał się głośno:

— Ta niewinna gołąbka, to sroka bezwstydna!

Usłużni przyjaciele powtórzyli to Agnieszce; z płaczem rzuciła się do nóg króla, błagając go aby odebrał wszystkie swoje dary, bo już ludzie sarkać na nie poczynają. Król jak mógł uspokoił Agnieszkę, ale rana została.

Na nieszczęście, w r. 1432 nikt nie wiedział jeszcze, że kochanka króla była uosobioną zacnością, że wszystkich sposobów używała, żeby obudzić w nim szlachetną dumę, energię i zajęcie się losem swojego kraju. Rzeczywiście Karol zapomniał o Francyi; panował w sercu *Damy piękności* (dame de beauté) i nie pragnął innego szczęścia. Napróżno Agnieszka zaklinała go, żeby stanął na czele swoich walecznych towarzyszy broni, którzy przy boku Joanny d'Arc przelewali krew za Francyą.

— Eh *ma mie!* tak ją nazywał, czyż już mię nie kochasz, że mię chcesz oddalić od twoich pięknych oczów?

— Obowiązek, chwała! mówiła Agnieszka... Miłość, szczęście, odpowiadał Karol.

Dworacy i naród nie wiedzieli o tych usiłowaniach *Damy piękności* i głośno szemrali. Oskarżano Agnieszkę o obojętność króla dla kraju; przeklinano dzień, kiedy przybyła do Francji; porównywano ją do Dalili krępującéj nowego Samsona, a najzawziętsi posuwali się tak daleko, że ja uważali za emissariusza nieprzyjaciół Francji, żeby oczarowała Karola VII.

Gadaniny te doszły do uszów Agnieszki Sorel. Pojęła od razu że imię jéj i imię jéj królewskiego kochanka, będzie na zawsze splamione jeżeli taki stan rzeczy potrwa dłużéj. Postanowiła, za jaką bądź cenę, zmusić króla do wojny z Anglikami. Wszystkie namowy, prożby, zachęty rozbijały się o jego obojętność i miłość. Pewnego dnia udało się jéj wyrwać królowi przyrzeczenie, że pójdzie bić Anglików. Żeby go utrzymać w tem postanowieniu, które już tyle razy porzucał, Agnieszka przekupiła kilka grup ludu, które przeciągając przed oknami pałacu, śpiewały satyryczne piosnki przez Anglików za francuzkiego króla ułożone:

Les Anglais avec leurs croix rouges
Voyant lors sa confusion
L'appelaient le roi de Bourges
Par forme de dérision.

Mes amis, que reste-t-il
A ce dauphin si gentil?
Orléans et Beaugency
Notre Dame de Clary
Et plus rien!

Król wybuchnął strasznym gniewem, chciał powiesić śpiewaków ale na wyprawę nie szedł.

Po niejakim czasie przyszła Agnieszka Sorel do króla i stanęła przed nim znękana i smutna:

— Czy masz nowe jakie zmartwienie? zapytał się król żywo.

— Niestety n. panie! odpowiedziała *dame de beauté*, zdaje mi się że nie długo muszę opuścić mojego pana i króla!

— Co? co ty mówisz?

— Prawdę n. panie! Jest ona twarda i może się rozgniewasz kiedy ją usłyszysz.

— Nie bój się, *ma mie*, chcę wiedzieć przyczynę twojego smutku.

— Wiedz zatem n. panie, żem sobie kazała wczoraj ułożyć horoskop dla siebie.

— No! domyślam się już, nagadano ci zapewne dużo przestraszających kłamstw.

— Przeciwnie, powiedziano mi rzecz bardzo ważną, przepowiedziano mi, że będę miała zaszczyt być kochaną przez największego monarchę na świecie.

Karol uspokojony uśmiechał się.

— No i cóż, *ma mie*, jest w tem tak przestraszającego? Czyliż ta przepowiednia nie spełniła się już, przynajmniéj w części?

Agnieszka Sorel poruszyła smutnie głową; łzy polały się z tych ślicznych oczów.

— Na Boga! płaczesz? czy ci co więcéj jeszcze powiedziano?

— Nie więcéj n. panie! Ale jeżeli mię wyrocznia nie myli, to pozwól mi mój panie i królu, odejść na dwór angielskiego króla, ażeby się wyrocznia spełniła.

—A to po co, jeżeli łaska, na dwór angielskiego króla, zapytał się Karol VII głosem, który gniew przytłumiał.

— Bo to zapewnie o nim mówi ta wyrocznia, ponieważ ty n. panie jesteś już bliskim utracenia twojego królestwa, a Henryk przyłączy je do swojego, to on jest większym monarchą od ciebie.

Słowa te, pisze Brantôme, tak mocno ubodły króla, że zaczął płakać ze złości, uciekł zaraz i zamknął się w swoim pokoju."

Agnieszka Sorel rzuciwszy tak straszny sarkazm w oczy swojemu kochankowi, skoro ujrzała skutek tak ogromny, rozpływała się w żałości, kobieta czuła i kochająca przemogła, chciała więc pocieszyć i płakać z królem razem. Król nie chciał nikogo widzieć, a nazajutrz cały zamek pełen był ruchu i życia, bo Karol VII gotował się na wojnę. Agnieszka zwyciężyła!

W kilka dni potem tłumy ludy cisnęły się na wały zamku Chinon; wszyscy mieszkańcy okolicznych miast i wsi byli na nogach, przypatrując się dzielnemu orszakowi Karola VII, który zdecydował się wreszcie iść wypędzić anglików. Rycerze, giermki, pazie uwijali się w różnych kierunkach, zbroje jaśniały, chorągwie powiewały. Wreszcie pokazał się król, a obok niego świetny orszak rycerzy, królowa i jéj damy honorowe. Na krzyk publiczności, król odpowiedział: *Sus aux Anglais! Huzia na Anglików!* Pożegnał się potem z królową, a zbliżywszy się do Agnieszki zarumienionéj jak róża, wyrzekł:

— *Ma belle mie*, pamiętaj że u twoich nóg złożę koronę ki edy ją zdobędę napowrót.

Od tego czasu, mówi naoczny świadek, wszyscy się dowodnie przekonali, że panna Fromenteau była prawdziwą przyjaciółką króla i zbawieniem Francyi."

Pierwsze dni rozłączenia były dla Agnieszki bardzo smutne, bo szczerze kochała króla; żal jéj było owych ślicznych dni przepędzanych wspólnie, ale więcéj niż kochanka kraj swój kochała.

Rozłączona z królem *Dama piękności* pozostała teraz sama ze swoim błędem. Dla téj kobiety tak poświęconéj, blask i miłość własna nic nie znaczyły, miłe słowo króla i jego chwała były dla niéj wszystkiem. W oczach dworaków okazujących kłamany szacunek, dopatrywała ukrytą pogardę, a sama myśl że ją lud nazywa faworytą królewską, wyciskała gorzkie łzy z jéj oczów.

(d. c. n.)

Przegląd teatralny.

Gavaut, Minard i wspólka. Komedja w trzech aktach z francuzkiego przez Edm. Gondmet przedstawiona d. 19 Sierpnia b. r.

Pierwszy raz podobno przystępujemy z niechęcią do spełnienia obowiązku sprawozdawcy teatralnego, aby pomówić o sztuce, któréj komedją nazwać niepodobna, a farsą niewypada. Gdyby nią była a dobrą, wesołą i bawiącą, scena zyskałaby jeźli nie coś wyborowego z podobnego rodzaju utworów, to przynajmniéj przynęcającego, na czem zyskałaby publiczność łaknąca zabawy, i kassa teatralna pragnąca wpływów obfitych. Sztuka p. Gondmet żadnemu z tych domagań się nie odpowiada. Rozwałkowana na trzy długie akta, nudzi gadulstwem, nuży mnogością scen niezręcznie pozlepianych, a gniewa dowcipem rozwijanym na tle, którego każda lepsza scena zwykle stara się unikać.

Streszczenia rzeczy tak koniecznego przy przeglądach teatralnych, niepodobna uskutecznić. Gdybyśmy gwałtem pragnęli to zrobić, musielibyśmy iść scena za sceną, któréj przytoczyć treść odzielnie, starać się wynaleść nitkę łączącą je z sobą, i toby dopiero stanowiło osnowę utworu p. Gondmet. Za długa to praca, nudna, niewdzięczna a nawet niepodobna. Jaskrawość zbyt rażąca, na któréj autor oparł całą swą kompozycję, nie pozwala na to stanowczo; dowcipki zaś niby dowcipne, zbyt trącą kołpakiem arlekinów cyrkowych, aby mogły zająć czytelniczki z wyrobionym już gustem estetycznym.

Aryści robili wszystko co mogli. Panowie Żółkowski i Rapacki byli ojcami... głupimy, niedołęgami, każdy w swoim rodzaju, a każdy inaczéj. Pani Bakałowiczowa dzielnie się przyczyniała do uwydatnienia téj ujemnéj strony swego męża i jego wspólnika. Trzy córki przedstawione przez panie Borkowską, Ostrowską i pannę Żółkowską, były piskliwe i wrzaskliwe, jak młode kózki wiele przypominające Dziesięć cór na wydaniu z operetki Ofenbacha. Panna Gilska wcale powabnie oddała rolę pokojówki, zajętéj miłostką z żandarmem, którego uciekanie, krycie się i pokazywanie, najwięcéj przyczyniało się podobno do ożywienia dość nudnie wlekącéj się całości. Panowie Szymanowski i Kwieciński spełnili także swe zadanie z godną pochwały starannością: artystom więc nic zarzucić nie można, i nie ich wina, że tylko część publiczności mniéj wymagająca, przyjmowała ich z zadowoleniem i nagrodziła wywołaniem, gdy reszta dobrańsza uporczywe ciągle zachowywała milczenie.

Ot i wszystko co o téj nowości powiedzieć można.

Prelekcje popularne dla kobiet w Zakładzie rękodzielniczem przemysłowym pani Wandy Szmitowéj rozpoczęły się już od trzech tygodni o jakich bliższą wiadomość podaliśmy.

W przemówieniu swojem p. Sulimierski, głównie zwrócił uwagę na metodę, jakiéj trzymać się będzie w zamierzonym wykładzie. Rzecz to najważniejsza, jeżeli zwrócimy uwagę na cel odczytów przeznaczonych głównie dla kobiet należących do klasy najuboższéj, a więc pozbawionych zupełnego wykształcenia. Przemawiać do takich aby je zająć i nauczyć czegoś, trudność wielka i tylko przy pomocy doświadczenia i pilnego śledzenia wrażenia wywieranego na słuchaczki, da się pomału pokonać. Późniéj o prelekcjach tych pomówimy obszerniéj, dziś chciałbym zachęcić nasze zacne panie Warszawskie, aby ułatwiły ile być może sługom swoim uczestniczenie w tych wykładach tak wielkiéj doniosłości. Na pierwszy raz niechby same poszły z niemi: dla dziewcząt służebnych jest to nowość, potrzebują więc ośmielenia i zachęty, wydatek zaś dziesiątki od osoby nie tak wielki, aby mógł stanowić słuszną wymówkę. Radzilibyśmy tylko wybierać dziewczęta roztropniejsze, więcéj rozgarnięte, bo głowy tępe słowa wykładu prędzéj uśpią jak nauczą.

Redakcja posiadając dość sprytną roznosicielkę Tygodnika, postara się zachęcić ją do pilnego uczęszczania na prelekcje. Śledząc starannie wpływ jaki wywierać na nią będą, złożymy późniéj odpowiednie sprawozdanie, które niewątpliwie ważne rzuci światło na metodę, jakiéj pan Sulimierski użył do swoich wykładów. W każdym razie pani Wandzie Szmitowéj należy się szczera podzięka, tak za powzięcie tyle szlachetnéj myśli, jak i za wprowadzenie jéj w wykonanie. Być może że pierwszy okres tych wykładów nie zgromadzi tak licznéj liczby słuchaczek jakby się spodziewać należało, niechże to założycieli nie zniechęca. Nowość każda podobnego rodzaju, nie prędko się upowszechnia, ale za to stopniowo wkorzeniając się w końcu zmienia się w potrzebę, w konieczność.

Ekonomia domowa.

(Dalszy ciąg.)

Nauka rysunku nie ogranicza się na odrysowaniu lub wycieniowaniu figur albo krajobrazów: daje ona poznać jakie są kształty pięknych wzorów.

Romanse nie wychwalają świeżości ani nadobnéj młodzieńczéj pełni życia,— ale postać nadpowietrzną, wysmukłą, bladość interesującą, powłóczyste melancholijne wejrzenie, których po większéj części objawy są poprostu dowodem słabości, choroby. Zbyt eczna szczupłość, wzrok omdlewający, nie dobrą są wróżby dla przyszłéj matki, dla małżonki, któréj może niefortunne losy męża podzielać wypadnie. A młoda panienka dbając o te ponętne wdzięki, boi się zdrowym pokarmem nabrać okrąglejszéj tuszy, nie chce chodzić ażeby drobna nie zgrubiała stopka. W miastach szczególniéj bezczynność, fizyczna nieruchawość, bardzo opłakane sprowadzają następstwa. Potrzebną jest tam koniecznie gimnastyka, rozruszanie muszkułów, ćwiczenie i zabawy na wolnem powietrzu.

Trojaka przyczyna tamuje rozwój dobrego zdrowia: niestosowne pożywienie, sznurówki zbyt ściśnięte lub zawcześnie używane, i brak dostatecznego ruchu. Zachowanie się właściwe pod temi względami, nada młodéj osobie giętkość, sprężystość życia, a wszystkie te przymioty oddziałają na jéj nauki, na jéj uczucia, na całość jéj moralnéj istoty. Stan fizyczny zyskuje na tem silniejsze zdrowie, piękność kształtów, ruchów, cery, ale na nieszczęście nasze wyrafinowania pozbawiają młodość tych wdzięków, wbrew naturze, która wszakże zdolniejszą jest od nas w pielęgnowaniu piękności.

Ręczne roboty mogą być do rzędu sztuk wliczone. Minerwa była ich bóstwem opiekuńczem. W stanie ubogim są one świętym obowiązkiem, w zamożności do dzieł dobroczynnych posłużą. Znamionują one tę staranność drobiazgową, to zrozumienie potrzeb drugich, owe drogocenne przymioty, które stanowią szczęście i zasługę kobiet. W młodéj osobie jakiego bądź stanu, szacowną jest zaletą zręczność w przykrojeniu, zeszyciu i wykończeniu wszelkiego rodzaju odzieży.

I tu jest pole do przekonania się, jak umysł uprawiony nauką uzdolnionym się znajdzie do wszelkich na pozór najbardziéj odrębnych zajęć. Porównajmy tylko w jak krótkim czasie panienka starannie wychowana nabiera biegłości we wszystkiem, a z jak opłakaną opieszałością przychodzi wprawa biednym robotnicom, którym tyle zależy na zapracowaniu sobie kawałka chleba.

Sztuka nauczania nie tyle zależy na udzieleniu drugiemu swojéj umiejętności, jak raczéj na rozbudzeniu w uczniach chęci i zdolności do nabycia onéj. Trzeba podniecić czynność myśli i zainteressować sumienie do oszczędzania czasu.

Sztuki, to źródło rozkoszy tak stosownych do podwójnego rozwoju o jakie starać się potrzeba w młodocianych latach, wszczepiają także częstokroć, niestety, zarody próżności, zbytku, płochości. Dla czego? bo kształcenie ich bywa za mało gruntownem, poważnem. I tu powinien być wyższy pogląd, podnioślejsze cele.

Młodzieńcze lata są w koniecznym porządku rzeczy wiekiem nierozwagi i nieprzezorności: zapobiedz temu nie zdołają najmądrzejsze przedstawienia, najtrafniejsze nauki ekonomii domowéj.

A cóżby to było gdyby jeszcze nie wskazywano młodym, ile życie zawiera w sobie trosk i zachodów, gdyby ich pozostawiano w mniemaniu iż skoro w świat wejdą, wszystko zastaną bez trudności, bez zakłopotania?

Nasze dzieci widzą dom rodzicielski urządzony i zaopatrzony dzięki długoletnim i wytrwałym zabiegom; mająż sobie wyobrażać iż wszystko zawsze tak było i samo przyszło? Że tę sprzęty utrzymywały się w dobrym stanie i nie trzeba było myśleć o ich odnawianiu i naprawieniu? że bielizna, odzież, stroje, zachowały się bez pieczy i zręcznej ręki matczynéj? że te tysiączne drobnostki co zdobiąc domowe zakątki, czynią z mieszkania drogą siedzibę, raj ukochany, nazbierały się tam same, a nie że rodzicielskie starania z wielkim kosztem je nagromadziły? że ten księgozbiór którym się ojciec przez całe życie w pracach swoich posiłkował, ten zdrój gdzie synowie czerpią skarby wiedzy, żadnych nie kosztował ofiar? że ta bawialnia gdzie się radzi garną przyjazni sąsiedzi, miała sama z siebie ten przynęcający urok, że nie potrzeba było wielkich zasobów uprzejmości, rozumu, wykształcenia, wdzięcznego obejścia, serdeczności i dobrej woli, by zatrzymać dawnych przyjaciół, z któremi Bóg pozwala razem się starzeć, i przywabić nowych, utrwalić stosunki? że ci starzy słudzy pozostali wierni i przywiązani; czyż nie to ich zjednało że pani domu okazywała się zawsze względem nich sprawiedliwą, roztropną, szczodrobliwą, cierpliwą na ich ułomności, błędy i uroszczenia?

Czyż wieku nieświadomości i niedoświadczenia nie należy objaśnić, że żadne dostatki nieostoją się przy marnotrawstwie, nieładzie i nieprzezorności; że zaniedbanie nauki i pracy największe złe za sobą pociąga; że trzeba połowę życia zużyć na szukanie prawdy; że koniecznością jest rozważać i zastanawiać się nad potrzebami drugich i nad własnemi?

A wiadomością największej wagi dla tego wieku jest ta, iż dzieci zaniedbując nabycia cnót jakie im przystoją, odbierają rodzicom zdrowie i radość duszy, którą dobre ich postępki najsilniéj podtrzymują.

Trzeba ich nauczyć, iż kiedy rodzina nabyła lub pomnożyła swoje mienie drogą dziedzictwa, obowiązkiem jest szanować przekazany sobie majątek, używać go roztropnie, oględnie, a zwłaszcza pamiętać ażeby z niego dział zostawał dla ubogich. Jeżeli zaś jest on owocem ciężkich prac i trudów rodzicielskich, tem więcej jeszcze szanować go winni, i bardzo być względnymi co do prawa szafowania tą ojcowizną.

Ekonomia domowa, w mojem pojęciu, nakłada religijny obowiązek rozpamiętywania tych uwag, a nakłonią one niezawodnie młodą panienkę do pilności w naukach, do staranności względem wszystkiego co jej będzie udzielonem, do pomiarkowania w pragnieniach i zbytku. W sercu jej zrodzi się uczucie poszanowania tych trudów jakiemi rodzice nabyli mienie, które przez tę myśl większéj nabierze w jéj oczach ceny, i zapragnie przekazać dalszemu pokoleniu w spuściznie i te cnoty które zbogaciły jéj ojców, i zarazem prac ich owoce.

Alboż to nie jest rzeczą nader smutną, kiedy się kto znajdzie w takiem położeniu, jak ów konik polny zmuszony oskarżać siebie o niemądrą nieprzezorność przed oględną i pracowitą mrówką, która przez całe życie przygotowała sobie zasobne śpichlerze?

W każdym domu zdaleka można przewidzić klęskę, bo zdaleka przygotowuje się upadek.

Nie tylko w książkach, nie tylko w wykładach profesorów znajdować można naukę oględnéj przezorności. Godna niezmiernego podziwu księga stoi otworem dla oczu, dla duszy każdego z nas bez wyjątku: oto cała przyroda gdzie wszystko urządzone z taką mądrością jakiéj niedorówna nigdy nieudolność ludzka.

Jeden tylko weźmy z niéj obraz. Zwróćmy naszą uwagę na gniazda ptaków. Któż bez rozrzewnienia może się zastanowić nad dobrocią bozką, która słabemu tyle przemysłu, nierozważnemu tyle użyczyła przezorności.

Zaledwie drzewa liściem się okryły, już ci tysiące robotników bierze się do pracy. Ci długie źdźbła słomy do wydrążenia muru wciągają, tamci murują budynki w oknach kościoła; jedni uszczkną włos z konia, drudzy wyzbierają szczątki wełny które owca pozostawiała na ciernistych krzakach, inni z kwitnących ostów jedwabne unoszą puszki. I między ptaszkami są bogacze i biedacy: jedni mają gniazdka miękkie, delikatne, drugich mieszkania proste, wieśniacze. A cóż dopiero gdy przyjdzie pora wysiadywania, wykluwania się piskląt, późniéj nauka jedzenia, a gdy piórka podrosną pierwsze próby lotu? To widok tak ucieszny, tak rzewny, jak patrzenie na rodzinę ludzką rządną, oględną, a tkliwem związaną uczuciem. Jakaż matka może z większą troskliwością usłać kolebkę dla swego dziecięcia, roztropniéj je nauczać posłuszeństwa i stawiania pierwszych kroków?

I oto Opatrzność stawia nam ciągle przed oczy ten przykład uroku jakim namaszcza rodzinę praca, czynność roztropna i przezorna.

Tuszę sobie iż każdy uzna to bez wahania, że wyrozumowane *użycie czasu* uzasadnione na ocenieniu jego wartości, zwłaszcza w tym wieku gdzie wychowanie jest tylko długiem i rozważnem przygotowaniem do zatrudnień, potrzeb i prób życia, musi być koniecznym wstępem do szczegółowych nauk, jakie ma w sobie zawierać niniejszy wykład ekonomji domowéj. System ten, dający za podstawę kształceniu się *pracowitość*, *porządek*, *systematyczność*, *przezorność*, znajdzie właściwe zastosowanie w dalszym ciągu tego wykładu, gdzie zamierzam sobie rozbierać po kolei wszelkie rodzaje pomocy, jaką *rozum* wykształcony przynosi *w domu*, *w rodzinie*, *w interesach*, *w świecie*.

(d. c. n.)

Opis ryciny.

Figura 1. Suknia z lilla jedwabnéj materji. Stanik w kształcie kaftanika. Od boków spada baskina przybrana białemi jedwabnemi pliskami i frendzlą.

Figura 2. Suknia z ciemno zielonego poult de soie, ubrana u dołu materją układaną w fałdy i zębami aksamitnemi. Każde plisowanie zakończone rozetą jedwabną. Tunika odpowiednio ciemno zielonym aksamitem przybrana i frendzlą obszyta. Kapelusz okrągły aksamitny ze strusiemi piórami.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza Ulica Żabia Nr. 956* dom dawniéj *Krzemińskiego*.

Do dzisiejszego numeru dołącza się rycina kolorowa paryzka.

Druk K. Kowalewskiego (ul. Królewska N. 1066*k*). Дозволено Цензурою. Redaktor J. K. Gregorowicz.